

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 21 maja 1950 r.

Nr 20 (234)

TREŚĆ NUMERU: Paweł Jasienica — Jeszcze o Marszall'u; Zbigniew Kubikowski — Notatki zjazdowe; Anna Pogonowska — Wiersze; Paul Andre Lesort — Serca i nerki; M. J. Kononowicz — Górnikom; Jean Jacques Brieux — Ludzie; Eugeniusz Pauksza i Wojciech Żukrowski — Obiektywem po Targach; Tydzień kulturalny;

Sprawa każdego człowieka

Pogląd socjalizmu i kapitalizmu na zagadnienie wojny jest absolutnie przeciwstawny. Abstrahując od wszelkich argumentacji humanitarnych — które sceptyk może zawsze odrzucić jako cześć frazeologii — ekonomiczna rozbieżność polega na tym, że kapitalista patrzy na wojnę z punktu widzenia perspektywy zysków, które może uda mu się z niej wyciągnąć — socjalista zaś — z perspektywy nieuniknionych strat, które musi na wojnie ponieść uspołeczniona gospodarka.

W ustroju kapitalistycznym jednak — producenci broni, do stawcy artykułów wojsku niezbędnych, bardziej uprzywilejowani pośrednicy — zarabiają indywidualnie, podczas gdy ogół społeczeństwa ponosi straty tak w ludziach jak i w materiale, dokładając jeszcze do nich dywidendy wypłacane królom armat. W ustroju socjalistycznym własność środków produkcji jest uspołeczniona, aparat pośredniczący jest w znacznej mierze również uspołeczniony. Kontrola czynnika społecznego uniemożliwia tu więc jednostkom osiągnięcie zysków z działań wojennych. Ponadto państwo socjalistyczne będąc dzięki gospodarce planowej nastawione na szerokie programy rozbudowy tak gospodarczej jak i kulturalnej — widzą w wypadku wojny w najlepszym razie perspektywę paroletniego zahamowania wysiłku twórczego, zastąpionego wysiłkiem zbrojeniowym.

Propaganda imperialistów na zachodzie próbuje zasugerować mieszczańską opinię publiczną niebezpieczeństwo agresji zbrojnej ze strony Związku Radzieckiego. Elementarna znajomość techniki działania ustroju socjalistycznego wyklucza ewentualności takich agresywnych planów wojennych.

W momencie, gdy ośrodki imperialistyczne rozpętały światomie histeryczną propagandę wojenną, gdy narzuciły światu wyścig zbrojeń, gdy przy lada okazji próbują szantażować bronią atomową — ludzkość musi dziś zagadnienie wojny i pokoju postawić na pierwszym miejscu swych zainteresowań.

Podczas odbytej niedawno w Sztokholmie sesji Światowego Komitetu Obróńców Pokoju — przedstawiciele różnych narodów, ras, przekonań politycznych i światopoglądowych analizowali szczegółowo te problemy.

Do wojny dopuścić nie wolno. Nie wolno dopuścić w parę lat zaledwie po potwornym okresie hitleryzmu do następnej masakry. Zahamować agresywne plany imperialistyczne, niedopuszczyć do utworzenia z Europy Zachodniej łącznie z Niemcami Zachodnimi nowej bazy wojennej — to zadanie ściśle politycznej natury. Przeciw imperialistycznym planom kapitalizmu światowego walczyć politycy krajów socjalizmu, walczyć z najwyższym poświęceniem masy pracujące wszystkich krajów, tak samo jak ludy kolorowe walczyć przeciw uczynieniu z krajów kolo-

niałych podatnego narzędzia dla zbrodniczej agresji.

Plaszczyzna obrony pokoju musi być jednak inna. Plaszczyzną obrony pokoju muszą być wspólne interesy całej zagrożonej wojenną katastrofą ludzkości. Dlatego też Światowy Komitet Obróńców Pokoju postawił za cel walkę o zahamowanie wyścigu zbrojeń. O ulżenie masom, obciążonym podatkiem militarystycznym. Zahamowanie zbrojeń jest bowiem pierwszą gwarancją odsunięcia na dalszy plan niebezpieczeństwa wojny wywołanej przez ludzi niepojętą, przez ludzi złej woli.

Wśród licznych broni jakimi dysponuje arsenał współczesny jest jedna w pełnym tego słowa znaczeniu broń agresywna, broń zbrodnicza — bomba atomowa.

Stanowisko Komitetu Obróńców Pokoju wobec szafowanej przez koła imperialistyczne groźby użycia bomby atomowej jest bezkompromisowe — nikomu, pod żadnym pozorem nie wolno rozpocząć agresji bombą atomową. Każdy rząd, który pierwszy użyje bomby atomowej, winien być uznany za zbrodniarza wojennego, za winnego zbrodni ludobójstwa. Ludzie odpowiedzial-

ni za tę zbrodnię winni być oddani w ręce sprawiedliwości i sądeni najsurowiej.

Słuszność uchwał Komitetu Obróńców Pokoju, jest oczywista dla wszystkich uczciwych i rozumnych ludzi, dla pracującej i walczącej o sprawiedliwość ludzkości, która potrafi przeciwstawić się propagandzie wojennej. Usunięcie niebezpieczeństwa wojny jest wspólnym zadaniem całej ludzkości, bez względu na dzielące ją różnice przekonań. Walka z katastrofą biologiczną jaką może być wojna atomowa, — jest oczywistym wyrazem samoobrony ludzkości. Tu nie może być miejsca na żadne względy uboczne.

Katolik, który rozważa swój stosunek do akcji pokojowej musi poza powyższymi argumentami wziąć jeszcze jeden wzgląd pod uwagę — charakter ciężącej na nim specjalnej odpowiedzialności.

Świat wczorajszy, świat kapitalizmu, w obliczu wizji katastrofy grożącej jego ideom — szuka w chrześcijaństwie sprzymierzeńca i osłony, próbuje on wszelkimi sposobami przekonać ludzi wierzących, że losy ich wiary związane są najściślej z kapitalistycznym porządkiem społecznym.

Perfidna propaganda próbuje dziś stworzyć pozory, że polityka agresji, imperializm gospodarczy i ucisk kolonialny, to są elementy obrony chrześcijaństwa. Nie dać odprawy tym sugestiom, to przyjąć na siebie dobrowolnie odpowiedzialność za fałszowanie chrześcijaństwa dla celów obrony starego porządku społecznego.

Dlatego też niezależnie od wszelkich różnic przekonań dzielących katolików na rozmaite orientacje polityczne i społeczne — udzielenie pełnego, szczerzego poparcia dla akcji obrony pokoju — podpisanie się pod apelem domagającym się wstrzymania wyścigu zbrojeń i uroczystego wyrzeczenia się użycia broni atomowej — jest obowiązkiem moralnym i obywatelskim każdego Polaka. Nie ma dziś w Polsce uczciwego obywatela, który by nie dostrzegał, jak tragiczne perspektywy szczególnie dla naszego narodu kryje możliwość nowego konfliktu światowego. Katolicy polscy wierni wskazaniom światopoglądu głoszącego miłość czynną, kierowani oczywistymi postulatami współczesnej polskiej racji stanu — dają godną odprawę wszelkim wojennym zakusom.

NAGRODA im. Włodzimierza Pietrzaka po raz trzeci

Zespół powołany do przyznania nagród imienia Włodzimierza Pietrzaka (Balka) w składzie:

*Antoni Gołubiew,
Dr. Artur Hutnikiewicz,
Paweł Jasienica,
Dr. Aleksander Rogalski,
Włodzimierz Wnuk,
Prof. dr. Andrzej Wojtkowski*

na posiedzeniu odbytym w dniu 13 maja 1950 r., postanowił większością głosów przyznać:

1) Nagrodę naukową w wysokości 150.000 zł.

ks. prof. dr. Kazimierzowi Klószakowi

2) Nagrodę literacką w wysokości 125.000 zł.

Zofii Starowiejskiej Morstinowej

za całokształt działalności krytycznej i literackiej

3) Nagrodę publicystyczną w wysokości 125.000 zł.

dr. Stanisławowi Stommie

za całokształt działalności publicystycznej

4) Nagrodę młodych w kwocie 100.000 zł.

Mikołajowi Rostworowskiemu

za działalność literacką.

Warszawa, 13 maja 1950 roku

JESZCZE O MARSHALL'U

W trzecim numerze „Nowej Kultury” ukazała się napisana przez p. Ludwika B. Grzeniewskiego recenzja z „Chwały Córy Królewskiej” Bruce Marshalla. Recenzja ta utrzymana jest w tonie zdecydowanie ujemnym. Wszystko w porządku. Nikt rozsądny nie może przecież oczekiwać, iż książka odpowiadająca światopoglądowi katolickiemu zadawoli marksistę. Jeżeli się to kiedykolwiek zdarzyło, to jedno z dwojga: albo ów marksista przestanie być marksistą, albo będziemy świadkami absurdu.

To wszystko, co wyżej zostało powiedziane, odnosi się — rzecz jasna — do światopoglądowej strony zagadnienia. Nie bowiem nie powinno przeskazywać uznaniu artystycznych wartości książki, której autor uprawia odmienną niż recenzent filozofię. P. Grzeniewski wartości tych w „Chwałę Córy” nie dostrzega, a nawet w ogóle problemem tym się nie zajmuje. To już trudniej zrozumieć.

Recenzja p. Grzeniewskiego jest właściwie artykułem politycznym. Pod tym kątem widzenia ocenia on zarówno samą książkę jak też i fakt ukazania się jej polskiego przekładu. Bądźmy układni i przyjmijmy propozycję p. Grzeniewskiego podług dyskusji. Popróbowajmy ocenić pod względem politycznym zarówno książkę jak i omawianą tu recenzję.

Tylko przed tym parę uwag natury porządkowej.

KWESTIE FORMALNE

Bez względu na to, z jakiego punktu widzenia ocenia się daną książkę, trzeba trzymać się jednej niewzruszonej zasady, która głosi, iż nie wolno „preparować” myśli autora, nie wolno przykrawać cytatów ani zamykać oczu na to wszystko, co recenzentowi psuje szyki. P. Grzeniewski nie respektuje zgola tej zasady.

Jest w „Chwałę Córy” scena śmierci starego marynarza, który przez całe życie „robił różne świństwa” i oto — *in articulo mortis* — otrzymuje rozgrzeszenie. Z okazji tego właśnie rozgrzeszenia p. Grzeniewski grzmi przeciwko „średniowiecznej legendzie”, która głosi, iż „jeden ostatni czyn może zdecydować o losie i zbawieniu człowieka”. Przez propagowanie tej „legendy” — rzecz p. Grzeniewski — zdają się mówić intelektualne tuby Watykanu pod adresem kapitalistów i podlegaczy wojennych: Walczcie z wszystkim, co postępuje, nie zapominając o używaniu życia — a wasz „ostatni czyn”, skrucha okazana w godzinie śmierci, poparta codziennym odstawianiem zdrowaśki przed zaśnięciem... zapewni wam zbawienie. Inaczej odrodzenia tej legendy rozumieć nie można na tle obecnej sytuacji światowej.

Bardzo srogo powiedziane. Ale byłoby lepiej, gdyby p. Grzeniewski poinformował rzetelnie czytelników, że „rozmaite świństwa” starego marynarza to były grzechy przeciwko temu Przykazaniu Boskiemu, które zabrania cudzolożyć. Co się zaś tyczy kapitalistów i podlegaczy wojennych, to stosunek autora do nich wygląda tak:

„Bóg, jak wiemy, przemówił i — jak również wiemy — świat nie został przekonany... Jedną z przyczyn tego, iż świat nie został przekonany, jest moim zdaniem fakt, iż Kościół, który identyfikują z klerem, uczy moralno-

ści o małym, nie zaś o dużym zakresie. Słyszą, jak z kazalnicy naszych potępia się cudzolożców, złodziei i morderców, nie słyszą natomiast byśmy potępiali pracodawców — wyzyskiwaczy, akcjonariuszy przedsiębiorstw zbrojeniowych, ludzi ciągnących zyski z filmów gangsterskich lub polityków godzących się na okrucieństwa w dalekich krajach. Twierdzą, że w oczach Kościoła akcjonariusz przedsiębiorstwa żerującego na nędzy kulistów chińskich jest dobrym chrześcijaninem, dopóki nie morduje przyjaciela... lub dopóki nie żyje z własną pokojówką” (str. 166).

To są poglądy Marshalla, wypowiedziane za pośrednictwem fikcyjnej postaci księdza Smitha. Marshall idzie dalej. Każde mianowicie ks. Smithowi bronić tych poglądów samotnie. Ta scena, kiedy zebrany kler kwituje milczeniem plomienną tyradę ks. Smitha i od razu przechodzi do kwestii: „Czy podczas nabożeństwa pontyfikalnego w Wielką Sobotę biskup powinien zdjąć mitrę, gdy leży krzyżem przed ołtarzem podczas litanii do Wszystkich Świętych”, ta scena — powiedziałam — jest gorzkim, bolesnym i nad wyraz odważnym oskarżeniem.

A p. Grzeniewski prawi o zachętach dla podlegaczy wojennych. — „Niepięknie, braciaśzku, co się zowie niepięknie”.

Albo te oburzenie p. Grzeniewskiego na marshallowską pochwałę fanatyzmu... Czemuż zacytowano tylko ulamki fragmentu, który brzmi tak: ksiądz „bardzo pragnął powiedzieć... iż jego zdaniem przywódcy Kościoła tak przywykli do widoku świata zaniedbującego mądrość Chrystusową, że przestal on ich razić, a zatem to, czego nam trzeba, to odrodzenie ducha apostołskiego wśród kardynałów, arcybiskupów i nuncjusów papieskich. Nie miało sensu głoszenie Ewangelii tylko tym, którzy przychodzą do kościoła, by jej słuchać. Ewangelia powinna być głoszona także tym, którzy jej słuchać nie chcą: przemysłowcom w ich biurach, członkom klubów w ich lokalach, robotnikom w ich warsztatach i fabrykach, pijakom w knajpach, niezręcznym w bramach” (str. 158).

Jak cytować, to cytować — prawda?

Historia w recenzji p. Grzeniewskiego bardzo nieprzyjemna, to sugerowanie — wbrew prawdzie — jakoby Marshall opowiadał się przeciwko strajkującym robotnikom. „I na nich przyjdzie opamiętanie, i w chwili śmierci na szubienicy jeden z nich... zawoła: „Psze księdza, psze księdza, tak się bojam...” — sztydzi p. Grzeniewski. Dziwnym zbiegiem okoliczności recenzent nie wspomina, że tuż przed owym „psze księdza” znajduje się taki pasus: „W piersi księdza podnosiła się fala wściekłości przeciwko bogatym, gdy myślał, jak łatwe było wszystko dla nich, a jak trudne dla Angusa. Dla nich, z ich zielonymi gazonami, linuzynami, oranżieriami i wakacjami w Dinard prostą rzeczą było rozwodzenie się nad tym, co oni by zrobili, gdyby byli robotnikami, lecz nie było to łatwe dla robotnika, szczególnie — gdy nie miał pracy” (str. 149)*.

Szkoda miejsca na prostowanie dalszych cytatów, zawartych w omawianej tu recenzji. Powiem tylko, że stosunek autora do nich wygląda tak: „Bóg, jak wiemy, przemówił i — jak również wiemy — świat nie został przekonany... Jedną z przyczyn tego, iż świat nie został przekonany, jest moim zdaniem fakt, iż Kościół, który identyfikują z klerem, uczy moralno-

ści o małym, nie zaś o dużym zakresie. Słyszą, jak z kazalnicy naszych potępia się cudzolożców, złodziei i morderców, nie słyszą natomiast byśmy potępiali pracodawców — wyzyskiwaczy, akcjonariuszy przedsiębiorstw zbrojeniowych, ludzi ciągnących zyski z filmów gangsterskich lub polityków godzących się na okrucieństwa w dalekich krajach. Twierdzą, że w oczach Kościoła akcjonariusz przedsiębiorstwa żerującego na nędzy kulistów chińskich jest dobrym chrześcijaninem, dopóki nie morduje przyjaciela... lub dopóki nie żyje z własną pokojówką” (str. 166).

I jeszcze jedna uwaga natury formalnej: nie ma sensu nazywanie C. S. Lewisa pisarzem katolickim, bo ten człowiek w ogóle katolikiem nie jest. Przechodzimy do kwestii merytorycznych.

„DOGMATY WATYKANU”

Pomawiając Marshalla o lekceważenie klęski wojen (aż nazbyt łatwo udowodnić cytatami, jak dalece niesłuszne to osądzenie), p. Grzeniewski pisze z przekąsem, iż „Marshall prawdziwie interpretuje dogmaty Watykanu. Teraz rozumiemy...”.

Więc postarajmy się zrozumieć, chociaż naprawdę — daremnie to usiłowanie.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że recenzent nie pochwała politycznego stanowiska Watykanu. Wynika to całkiem niedwuznacznie zarówno z zacytowanego dopiero co fragmentu jego pracy jak i z ogólnego jej tonu. Bardzo pięknie. Nikt także z katolików polskich nie ma żadnej powinności kierowania się ewentualnymi politycznymi wskazaniem Kurii Rzymskiej. Obowiązują bowiem przestrzeganie nakazów polskiej racji stanu, co całkiem jasno wynika z treści zawartego niedawno porozumienia w sprawie sytuacji katolicyzmu w Polsce. Ale w tymże porozumieniu przeprowadzono bardzo wyraźną granicę pomiędzy sprawami wiary i moralności — właśnie dogmatami, które wszystkich katolików polskich „w pełni obowiązują — a sprawami politycznymi. Tymczasem p. Grzeniewski całkiem beztroško posługuje się terminem „dogmat” dla określenia zagadnień właśnie politycznych. Jest to gmatwanie pojęć ze wszech miar szkodliwe.

Nie ma żadnych politycznych „dogmatów”. Tworzenie tego rodzaju pojęć, operowanie nimi jest katastrofalnym błędem politycznym. Są tylko dogmaty Kościoła, ale nie mają one nic wspólnego z polityką.

Skoro już mowa o Watykanie, to wypadnie wyrazić zdziwienie z powodu braku spostrzegawczości, którego dowody złożył p. Ludwik B. Grzeniewski. Z katolickiego punktu widzenia jedno tylko można coby książkę Marshalla zarzucić: mam na myśli jej bardzo powściągliwy (tak to nazwiemy) stosunek do niektórych przedstawicieli Hierarchii, a nawet do osoby samego Papieża. Niech sobie p. Grzeniewski raz jeszcze przeczyta króciutki rozdział XXIV (str. 185) i doprawdy niech nie szuka naiwnych i nie udaje, że niczego nie zauważył.

OBNDARCI KATOLICY

P. Ludwik B. Grzeniewski stara się myśleć kategoriami politycznymi. Wobec tego nie może dłań istnieć problem książki Marshalla „jako takiej”. Kwestia powinna być postawiona następująco: w roku 1949 ukazują się w Polsce przekład angielskiej powieści katolickiej: jaki wpływ wydarzenie to może wywrzeć na postawę i sposób myślenia katolików polskich w realnie istniejących warunkach połowy XX stulecia? Bardzo być może, że za lat pięćdziesiąt, w zmienionych okolicznościach polityczna ocena książki wypadnie całkiem inaczej niż dziś. Nas jednak obchodzi chwila bieżąca.

Marshall obrazuje położenie katolików i katolicyzmu w Szkocji. I oto czytelnik polski dowiaduje się ze zdumieniem, że istnieją takie kraje w Europie, gdzie fakt już nie tylko przynależności do Kościoła, ale nawet posia-

danie wysokiej godności duchowej nie stwarza absolutnie żadnych przywilejów. Raczej odwrotnie — powoduje coś w rodzaju społecznej degradacji.

„W tym kraju Kościół jest Kościołem biedaków... powiada ks. Smith — i zasadniczo jestem z tego zadowolony, bowiem taki stan rzeczy stwarza zarówno księżom jak i wiernym uodparniające duchowe i materialne warunki pierwotnego chrześcijaństwa. W Szkocji nikt nie każe naszym biskupom witać przyjeżdżających księży krwi, ani nie wymaga od nich, by rozmawiali z dyplomatami, tak więc przejmują oni swą godność biskupią w sposób zamierzony przez Boga, raczej jako obowiązek niż jako przywilej” (str. 78).

A radca Thompson, prezes Stowarzyszenia Akcji Protestanckiej, tak oto odwołuje się do ks. Smitha: „Nie chcemy żadnych obdartych katolików w tej części miasta... Jeśli nie wyniesiecie się stamtąd, sami was przepędzimy” (str. 33).

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że umysłowość wielu katolików polskich fatalnie obciążają tradycje przywileju, jakim katolicyzm cieszył się w naszej ojczyźnie od lat prawie tysiąca. Zwłaszcza zaś od XVII stulecia nieprzerwanie tak było, iż katolicyzm — to wiara panów, protestantyzm — to wyznawanie „łyków”, prawosławie zaś — „muzykająca wira”. Jeśli zaś chodzi o pogardę okazywaną religii moźszeszowej — to w ogóle żal i wstyd mówić.

Trudno nam dziś zrozumieć i wyobrazić sobie, jak straszna była potęga politycznego przywileju, którym cieszył się dawniej kler katolicki w Polsce. Kiedy w XVI wieku Zygmunt August postanowił odwiedzić w Wilnie świątynię protestancką, zaszedł mu drogę biskup wileński, uchwycił za cugle królewskiego konia i zagroził: „Nie ta jest droga, którą przodkowie Waszej Królewskiej Mości szli do królestwa niebieskiego — ale ta” — wskazywał palcem na kościół. I tolerancyjny, samowolny, w każdym calu monarszy Zygmunt August, który potrafił wnoszone doń na klęczkach błaganie sejmu kwitować wyniosłym: „Ja tak chcę” — posłusznie zawrócił z drogi. Tradycja tego przywileju, zmienionego w formie — mniej w treści. trwała aż do naszych czasów. Czyż w „Wyzwoleniu” Wyspiańskiego nie ma groźnych, a naprawdę wówczas wygłoszonych w Krakowie słów: „Na kolana!”?

O czym tu dżo mówić? Ja sam znam wypadek — było to na krótko przed wojną — gdy pewien ksiądz pretekst nie chciał podpisywać w dzienniku szkolnym tej samej rubryki, co prawosławny „batuszka”, bo twierdził, że to despekt. Mogę wskazać czas, miejsce i okoliczności tudzież przywieść wiarygodnego świadka.

Przyzwyczajony do takiego stanu rzeczy katolicki czytelnik polski dowiaduje się od Marshalla, że można być wzorowym katolikiem, głosić chwałę Córy Królewskiej oraz Słowo Boże w warunkach całkiem odmiennych. Takie wiadomości znakomicie rozszerza intelektualny horyzont. I to w dodatku rozszerza go w sposób — ze względu na czas wielkich przemian, w jakim żyjemy — najbardziej pożądanym.

Pragnąłbym uniknąć nieporozumień. Tak jak niesłuszne i złe było degradowanie epoleczne Żyda z powodu jego wiary — tak samo niesłuszne i złe jest poniżanie z analogicznych powodów katolików. Wszelkie dyskryminacje z powodów religijnych, rasowych, narodowych itp. są zjawiskiem obrzy-

dliwym. Marshall nam o istnieniu tych rzeczy w Anglii przypomniał; nie jest to bez korzyści dla politycznego sposobu myślenia b. wielu ludzi. Ale z wywodów zawartych w niniejszym artykule proszę nie wyciągać absurdalnego wniosku, jakoby autor jego życzył sobie, by księży polskich — co zresztą wcale nie grozi — spotykały obelgi i napaści na wzór tych, których ofiarą padł ks. Smith. Chodzi mi tu tylko o podkreślenie, iż książka Marshalla uczy pewnej rzeczy zasadniczej: tego mianowicie, że katolicyzm może być realizowany w warunkach najbardziej rozmaitych.

Czy p. Grzeniewski zgodzi się ze mną, iż jest to prawda bardzo pozytywna?

Jak reagują na to wszystko księża w powieści Marshalla? Jaki jest ich stosunek do niekatolików?

Ks. Smith modli się codziennie do Boga o nawrócenie Szkocji. Ale bynajmniej nie prosi Stwórcę o przysianie na Wyspy Brytyjskie wojsk króla Hiszpanii, które by okiełznały herezyków, a wywyższyły synów Kościoła. Ks. Smith uważa pastora protestanckiego z High Kirk za swego przyjaciela, rad go odwiedza i gawędzi z nim. O herezykach zaś i wszelkiego innego rodzaju różnowiercach powiada raz pewnego w ten sposób:

„Widzimy, że herezycy i schizmatycy, a nawet ateści chlubią się praktykowaniem doskonalszego miłosierdzia niż nasze. Przewielebni i wielce czcigodni księża, mówię z całą powagą, Kościół Boży nie może ponieść porażki, ale duchowni mogą opóźnić i opóźnią jego tryumf, jeżeli nie przywołają wiernych z powrotem na drogę surowej i bezkompromisowej religijności” (str. 167).

W postawie Marshalla — którego p. Grzeniewski oskarża o dziki fanatyzm, propagandę kapitalizmu i wojny — uderza jedno: Marshall nie dzieli ludzi na dobrych i złych według tego czy i jaką religię kto wyznaje. To wcale nie znaczy, by nie chciał wszystkich ludzi ku prawdziwej wierze nawrócić. Ale wartościuje ich według tego, czy są ludźmi dobrej woli („...wielu ludzi dobrej woli pozostaje poza Kościołem” — str. 167). Do popełnienia grzechu śmiertelnego — powiada — potrzebna jest zła wola. „Kłamania, oszukiwanie, złodziejstwo, wyzyskiwanie pracowników, zbijanie pieniędzy i wygłaszanie wielkich słów dla ukrycia niałych myśli — oto grzechy wolałające o pomstę do nieba, ponieważ wyrządzały więcej krzywdy innym niż samym grzesznikom” (str. 44).

Marshall potrafi być bardzo wyrozumiały. „Nie każdy, kto powie przed Bogiem: „Panie, Panie nie spałem z żadną aktorką” wejdzie do królestwa niebieskiego” — twierdzi. Uliczników zaś, łączących biskupa, tak oto rozgrzesza: „...rozwrzeszczani durnie i próżniaki nie żywią w rzeczywistości niewiści do nauki Kościoła o Bogu i Przenajświętszym Sakramencie, lecz tylko do zniekształconych przeznaczeń winionych im przez ignorantów” (str. 12).

Istnieje więc tylko jedna rzecz degradująca człowieka. Tą rzeczą jest zła wola, która powoduje krzywdę bliźniemu. Tak uczy książka Marshalla.

Czy p. Ludwik B. Grzeniewski zgodzi się ze mną, że są to dyspozyce bardzo pozytywne?

P. Grzeniewski powiada, że „Chwała Córy Królewskiej” została rozkupiona „przez wszelakie kultuństwo w piornującym tempie”. Zaisie, bardzo dziwna to teza.

Zbigniew Kubikowski

NOTATKI Z JAZDOWE

Z krótkiego dystansu jaki dzieli nas od zakończenia Zjazdu Polonistów trudno ocenić w całości jego bezwzględnie wielką doniosłość. Można tylko zanotować na gorąco kilka uwag, które wydają się najważniejsze, uwag poprzedzających bardziej szczegółowy artykuł.

W Zjeździe brali udział niemal wszyscy wybitni poloniści starszego i młodszego pokolenia, żeby wymienić tylko nazwiska prof. prof. Kleinera, Krzyżanowskiego, Górskiego, Boro-

Ważnym kierunkiem teoretyczno-literackich i propozycji nowego spojrzenia na dzieło literackie. Poza tym działały jeszcze sekcje: dydaktyki języka polskiego w szkole i organizacji badań polonistycznych. Odczytane referaty, jak również stenografowana dyskusja zostaną zebrane i wydane w księdze pamiątkowej Zjazdu.

Założeniem Zjazdu była jasno uświadomiona konieczność planowania badań polonistycznych, sprawa kadr naukowych, profesorskich i asystenckich.

Zarysowane przez prof. Krzyżanowskiego najważniejsze postulaty organizacji pracy w dziedzinie nauki o literaturze to przede wszystkim sprawy wydawnicze. Konieczność nowego wydania bibliografii Estreichera, książki Korbuta, pełnego wydania tekstów XVI i

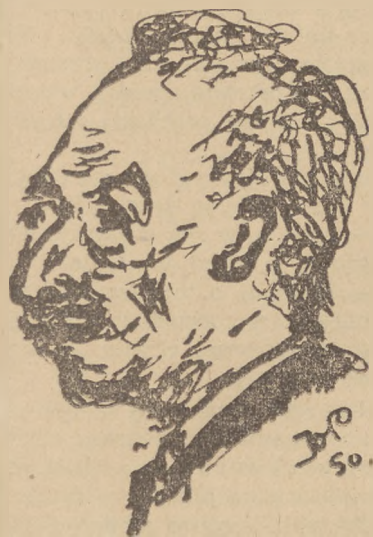
spraw zasadniczych. Ale kiedy, padło pytanie, jaka będzie interpretacja klasowa utworów w typie „Trenów” Kochanowskiego, czy „Szwajcarii” Słowac-

Trudną sprawą okazała się również kwestia periodyzacji literatury, którą omawiali prof. prof. Pollak i Jakubowski.

Proponowany podział w historii literatury na cztery epoki, a to: feudalizmu, kształtowania się formacji kapitalistycznych, kapitalizmu i socjalizmu, z wieloma wewnętrznymi cesurami, mimo zasadniczej słuszności, postawionych

pliwości, o których częściowo była mowa wyżej. Jednakże uznawana przez nich konieczność włączenia się w nurt współczesnej pracy badawczej sprawiła, że o ile Zjazd nie zakończył definitywnie sporów metodologicznych, to w każdym razie zmienił ich zakres i tor.

Materiał, uzbierany przez Zjazd będzie podstawą referatu przygotowywanego na Kongres Nauki Polskiej. Ustali on stan badań, omawiając krytycznie naukową spuściznę polonistyczną i potrzeby w zakresie nauki



Juliusz Kleiner



Stefan Żółkiewski



Jan Kott



Bohdan Korzeniewski



Leon Schiller

wego, Kucharskiego, Wykę, Miłkowskiego, Kotta czy Żółkiewskiego.

Na Zjeździe, odbywającym się w Warszawie w dniach 8—12 maja spotkali się profesoria, nauczyciele i studenci. Nie były to zespoły jednolite. Linia podziału na starszych i młodszych dawała się zauważyć wyraźnie szczególnie w grupie profesorskiej. Dzięki temu Zjazd miał charakter spotkania porozumiewawczego, mającego na celu uzgodnienie stanowisk metodologicznych. Wypadnie od razu powiedzieć, że starsi badacze nie bronili stosowanej przez siebie metody, a tylko obiektywnej wartości zgromadzonego przez nich materiału. Drugą płaszczyzną, na której toczyły się prace Zjazdu, była sprawa organizacji badań polonistycznych. W zakresie historii literatury zagadnienie sprowadzało się do krytycznego ustalenia stanu badań i potrzeb wiedzy o poszczególnych epokach, w zakresie teorii lite-

kiego, kiedy padło pytanie: „Czy w Panu Tadeuszu dopatrzyć się można tylko ostatek ginącego świata szlacheckiego, a w powieściach Orzeszkowej, np. analizy ustroju patriachalnego wsi polskiej — te pytania najczęściej pozostawały bez odpowiedzi. Bo nie jest odpowiedź na kolejne pytanie, czy wobec tego chciałoby się w marksizmie widzieć tylko dobrą metodę badania prozy, a do poezji stosować metody idealistyczne.

Podobnie kiedy wytyczając drogi teorii literatury stwierdzono, że trzeba ją potoczyć z historią i innymi dyscyplinami, kiedy proponowano wyjś-

tez wymaga jeszcze gruntownego opracowania. Zilustrować to można na przykładzie baroku, poruszonym w dyskusjach. Zamiana nazwy barok na termin kontreformacja nie oddaje charakteru tej literatury, tym bardziej kiedy się weźmie pod

Nowe spojrzenie na literaturę wywołało u wielu uczestników Zjazdu, należących do starszej generacji szereg wą-

o literaturze, wysuwając szereg konkretnych wniosków organizacyjnych. Ten charakter Zjazdu sprawia, że ma on kluczowe znaczenie w dziejach powojennej polonistyki.

Zbigniew Kubikowski

XVII w., serii monograficznych opracowań klasyków itd.

Zasadniczą wagę ma także projekt rozplanowania pracy nad poszczególnymi epokami pomiędzy ośrodki uniwersyteckie.

Łączy się to z monopolistycznym charakterem wiedzy niektórych badaczy, co dotychczas tamowało nawet rzetelną dyskusję na temat nowych pozycji specjalnych.

Pozostawałaby otwarta sprawa ośrodka dyspozycyjnego tych prac, opartych oczywiście na zdecydowanie na podstawach metodologii marksistowskiej.

Inny charakter ma wniosek prof. Żółkiewskiego, o wprowadzeniu aspirantury na wzór uczelni radzieckich.

Miałoby to na celu uwolnienie od często uciążliwej pracy administracyjnej młodych sił naukowych.

Cykl referatów z zakresu historii literatury polskiej przyniósł w niektórych wypadkach osiągnięcia, znacznie wykraczające poza wytyczony zakres. Były to przede wszystkim referaty prof. Wyki o romantyzmie i literaturze okresu imperializmu, a więc najtrudniejszych do rozszyfrowania epokach. Ustalenie rozwarstwienia polskiego romantyzmu na liniach konfliktów klasowych, jest założeniem nowym i ciekawym, choć bez wątpienia wymagającym jeszcze obszernych dyskusji.

Takich dyskusji wymaga także metodologia badań. Spory na tym tle nie dotyczyły na ogół



Zenon Klemensiewicz

cie z zamkniętego kręgu wewnętrznej dynamiki dzieła literackiego i uczynienie z teorii narzędzia pomagającego do rozszyfrowania społecznego sensu utworu: to postulaty te pozostały tylko postulatami, nie podbudowanymi konkretnym materiałem.

Jedynie referat Stefani Skwarczyńskiej: „Stan badań nad teorią gatunków literackich” miał ambicję wyjścia z tego kręgu. Żądając wytypowania gatunków i odmian literackich i ustalenia przemienności tych gatunków Skwarczyńska zakładała równocześnie, że spotkanie nowej formy sygnalizuje nową treść i vice versa. Niebezpieczną wydaje się tylko propozycja stworzenia rejestru, czy inwentarza gatunków literackich. Tego rodzaju postawienie sprawy wskazuje, że wyjście z teoretycznego impasu nie jest jeszcze bliskie.

Anna Pogonowska

Warczy przestrzeń w próbowce
Nad nią profile ludzkie
Wargi stopione żarem
Oczy — gromy trwałe.
Moment. Szkło trysnie
Buchnie siła
Światło w krawędziach
Ciał błysnie
Brzegiem liścia
Kształtem posągu
Stanie blask
W Dzień Sądu.

Gdy Ziemia — samobójczy
Trup — w próżni zawisnie
Bóg drogę mleczną zwinie
Mgławice zaciśnie
I tam gdzie otchłań ostra
I jasna ciężarem
Dusz — oddzieli wir plew
Od ziaren.

O! Nie ma ciebie lęku —
Wstańcie umarli!
Żalu — zakwitnij różą
Słowiczym śpiewaj gardłem.

POSŁOWIE.

Waż mądry wielbił kola
Skończony kształt
Krag zaciskając pysk wszczepił
W rdzeń grzbietu swego i zmarł.

Łasko! rozdieraj pętlę
Myśli zawziętej!
Wyszczerb mury, zgaś wicze
Uderzaj!

Sp. wyd. „Pax”, Inst. Wyd.
wysyła
G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM
SZATANA

cena 950 zł

B. MARSHALL
CHWAŁA CORY
KRÓLEWSKIEJ

cena 750 zł

DEKĘ DRZEWORYTÓW
„OJCZE NASZ”
K. WRÓBLEWSKIEJ

cena 1200 zł

Po wpłacie na KONTO PKO
1-8515
SP. WYD. „PAX” INST. WYD.

Paul Andre Lesort

Urodzony w 1915 roku w Granville la Manche. Po uzyskaniu licencji prawa i odbyciu służby wojskowej, wstąpił na służbę próbą w pewnym wielkim banku, gdy wybuchła wojna. Wziął w niej udział jako ficer piechoty w kampanii na Marnie i Sekwanie w 1940 r. i 13 czerwca dostał się do niewoli. Pięć lat przeżył w obozie jenieckim na Pomorzu. W chwili wejścia wojsk sowieckich przedsięwziął próbę ucieczki, aby nie podległ ewakuacji w głąb Niemiec. Ucieczka nie udała się. Uwolniony został w 1945 r. w kwietniu przez wojska angielskie.

W chwili obecnej Lesort jest kierownikiem literackim wydawnictwa „Temps Présent”. Żonaty, ojciec trojga dzieci, mieszka w Wersalu i w wolnych chwilach pracuje nad nową powieścią.



Pierwsza jego powieść „Les reins et les coeurs” wyniosła go od razu na poziom wielkich powieściopisarzy współczesnych. Otrzymał nagrodę Akademii Francuskiej za rok 1947. Gabriel Marel w swej przedmowie do tej powieści nazywa ją jednym z najwybitniejszych debiutów literackich ostatniego dziesięciolecia. Porywa ona głębią psychologiczną, dramatycznym napięciem, talentem i mistrzostwem słowa, interesuje oryginalnie nową techniką pisarską. Autor nie wyraża od siebie żadnych zasad ani poglądów, obrał bowiem ciekawą formę pisarską; w każdym rozdziale jedna z działających osób wypowiada swoje wrażenia, uczucia i myśli, sunięte jej przez spłot przepływających wydarzeń i postępowanie pozostałych osób, z którymi świeżo się zetknęła. Każdy rozdział ma więc za tytuł imię i nazwisko danej osoby, oraz datę jej wypowiedzi. Autor stoi zupełnie na uboczu; przemawiają tu tylko osoby powieści. I fabuła także wynika tylko z opowiadań działających postaci, autor sam nigdzie jej nie redaguje. Każda z tych osób ma swój własny punkt widzenia. Lewi-cowiec, szwagier Eugénusza, ma tu swoją rację; ma ją i postępowy Eugène i tragiczny, pełen katolickich skrupułów Michel.

„Jeśli ta książka — powiada Marcel — ma jakąś jedność, to jest to jedność raczej muzyczna niż plastyczna czy logiczna; poszczególne opowieści mają za zadanie udzielać sobie wzajemnej barwy i orientować czytelnika w sensie jak najszerszego, jak najmięsierniejszego poglądu na rzeczywistość ludzką”.

**

Jest to fragment dzieł rodziny Lavallée i licznych jej przedstawicieli, a także rodzin z nią zaprzyjaźnionych — Estienne, Nocheret — na przestrzeni okresu od 17.X 1933 r. do 26.I 1935 r.

Umarł patriarcha rodu Lavallée, dziadek Drouet; pogrzeb jego i różne formalności zgromadza wszystkich potomków w majątku dziadka, Haute-Pierre, wspólnym rodzimym gnieździe. Drouet pochodził z ludu i piórem dorobił się majątku, którym zarządza syn jego, zamilowanemu gospodarzowi, Albert Drouet. Głową rodziny Lavallée jest w danym momencie Henryk Lavallée z żoną Klotyldą i sześciorgiem dzieci. Niezamożni rodzice utrzymują tę grupę małą własną skrzętnością i pracą. Rodzina ta — to wzór tradycyjnej rodziny chrześcijańskiej; chodzą na nabożeństwa do kościoła, odmawiają co wieczór wspólnie paciery; zanoszą modły o zdrowie najmłodszej córeczki Monique, która przechodzi zapalenie płuc (ratuje ją zacy sceptyki i oryginał, dr Gandillon). Eugène Lavallée, najstarszy syn, już żonaty, pracuje w ministerstwie finansów;

żona jego Suzanne, milcząca, nieśmiała i zamknięta w sobie, kocha go bałwochwalczo, on zaś uważa ją za swą prawowitą własność; oboje w kręgu wzajemnej miłości, żyją prawie w oderwaniu od świata. Gdy lekkomyślny kuzyn Fernand odważył się ją pocałować w nieobecności męża — ona spowiada się z tego Eugeniuszowi, a ten przeżywa ów fakt jako kataklizm tragiczny w dziejach swego małżeństwa. Eugène jest wolnomyślny i postępowy, burzy się przeciw prawu własności i odmawia dziedziczenia ziemi po dziadku. Najstarsza córka, Geneviève, pracuje jako asystentka w laboratorium chemicznym w Paryżu. Rodzice pragnęliby zabezpieczyć jej byt i gotowi są wydać ją za znacznie od niej starszego wdowca z dwojgiem dzieci, Victora Tamarin. Geneviève gotowa jest ulec woli rodziców, nie jest bowiem pewna, czy ukochany przez nią jej najbliższy zwierzchnik Emanuel Valmon zdecydował się wyznać jej swą miłość. Uczucie zwycięża skrupuły młodego fanatyka nauki, młodzieńcy zaręczają się i spędzają uroczyste wakacje nad morzem w Haut-Pierre, na łonie rodziny. Młody uczonej burzy jednak to szczęście i zrywa narzeczeństwo, obawiając się, że miłość odwiedzi go od prawdy, której chce bezwzględnie i niepodzielnie służyć; donosi o tym Geneviève w okrutnym liście pisanym u matki przy końcu wakacji. Następny syn Henryka, Marc wstępuje na praktykę do prawnika. Jana Nocheret; będzie studiował prawo na uniwersytecie. Pozostali synowie: dobroduszy, niedźwiedziodawaty Bernard i psotny smarkacz Bob — są jeszcze w szkole. Bob, w zamieszaniu, podczas choroby siostrzyczki, wykrada z torebki matki 10 franków na laskocie i notatnik szkolny; to go demoralizuje. staje się w szkole niepunktualnym i zu-chwałym. Przeżywa egzaltację wyrostka i kocha się komicznie w małej kuzyneczce.

Przyjacielem od dziecka Eugénusza Lavallée jest Michel Estienne, sąsiad z okolicy Haute-Pierre, jedna z głównych postaci powieści. Jest wicedyrektorem firmy perfumeryjnej w Paryżu; natura artystyczna, miłośnik literatury, malarstwa i muzyki. Kolega i przyjaciel szkolny Nochereta, zamierzał kiedyś z nim razem wstąpić na prawo w uniwersytecie, lecz małżeństwo z Andrée, jasnowłosą wiejską panienką ze stron rodzinnych, skierowało go na drogę wczesnego zarobkowania. Jednak szczęście z nią zawodziło go: po pierwszym dziecku Andrée nabiła się ciężkiej wady serca i lekarze pod groźbą śmierci zakazali jej ciąży. Od sześciu lat Michel żyje więc w celibacie przy boku ukochanej żony, która wciąż niedomaga. Bierna Andrée znosi ten stan cierpliwie, bez żywszej udręki, lecz silny gwałtowny Michel nie może znieść dłużej takiego niernormalnego życia. Zrazu marzenia jego krąży dokoła wdzięcznej i zalotnej Colette, żony przyjaciela — Jana Nochereta. Colette nie jest z mężem szczęśliwa; znacznie od niego młodsza, czuje się stale zaniedbywana i niezrozumiana przez oschłego profesora, tęskni do miłości, wdycha układ-kłem do Michela, który ich często odwiedza i prowadzi z nią rozmowy o sztuce.

Andrée wyjeżdża dla wzmocnienia zdrowia nad morze wraz z sześciolletnią córeczką Joeannine... Michel i Colette, w nieobecności Nochereta, wznajają sobie miłość; wyznaczają pierwszą schadzka następnego zwiędzenia galerii sztuki. Ale Michel w niecierpliwym oczekiwaniu jutra, wchodzi dla zabicia czasu do kabaretu, gdzie porywa go piękność i świeżość tancerki Nataszy, kobiety z półświatka. Uprawdza ją natychmiast z sobą; tancerka zostaje jego kochanką. W szale zmysłowych upojen spędza dwanaście dni, obdarza hojnie Nataszę klejnotami, których wartość pochłania całe jego oszczędności i coś ponadto. By zapać jubilem, popełnia chwilowe, kilkunastogodzinne nadużycie w kasie swej firmy; zanim spienięży własne papiery wartościowe i otrzymała nie gotówkę, podejmuje nieprawne pieniędże na rachunek i czek perfumeryjny. Po sprzedaży papierów wartościowych i auta, zwraca firmie podjętą sumę i formalnie wszystko jest w porządku. Nawrót Michela z fatalnej drogi stanowi punkt kulminacyjny całej powieści i pokaz nadzwyczajnej, wielostronnej wirtuozerii autora. Rzecz dzieje się w Luna Parku, gdzie ze spłotu barw i dźwięków wykwitła anielska twarzyczka Andrée i zmienia nagle serce grzesznika, jak dotknięcie nadprzyrodzonej łaski.

Paul André Lesort

S E R C A

(Fragment)

Michel trzeźwieje, rozstał się z uroczą, pełną prostoty przygodną kochanką. Teraz czas pojechać po żonę nad morze i przywieźć ją do domu. Uduje się po Andre. Udręczony wyrzutami sumienia, wyznaje jej wszystkie swe grzechy i pokazuje list do dyrektora firmy z przyznaniem się do nadużycia i prośbą o dymisję. Przerazona, bierna dotychczas Andrée teraz dopiero pojmując, do czego doprowadziło Michela rozstanie tyloletnie z nią i niernormalne ich pożycie. Tak nadal być nie może; postanawia, choćby z narażeniem życia powrócić z nim do normalnych stosunków małżeńskich; jeśli ją to przyprowadzi o śmierć, to przynajmniej Michel odzyska wolność. Zresztą wprawia i sobie i jemu, że czuje się już od dawna zupełnie dobrze. Michel i Andrée wracają do dawnego małżeńskiego trybu życia.

Szef firmy nie uznał skrupułów Michela: wszak kasa jest w porządku. Ceni go teraz jeszcze bardziej. Michel zyskuje także przyjaźń współpracownika firmy Rougiera, któremu również wyznał swe wykroczenie. Ale Andrée zasłała w ciążę, choroba serca powróciła i stan jej ciągle się pogarsza. Umiera wreszcie, dając życie dziecku, a Michel czuje się jej zabójcą.

Colette Nocheret doznała strasznego wstrząsu po odejściu od niej Michela; zbliża ją to ponownie do męża i skłania do życia bardziej aktywnego. Biorąc na wychowanie małego biedaka jakąś.

Na dalszym planie przesuwały się liczni członkowie rodziny, potomkowie dziadka Drouet, ciasno wpleceni w życie głównych postaci. Autor, wszędzie bezosobowy, może najsilniej współżyje i współczuje z subtelną indywidualnością Michela.

Ustęp przetłumaczony dotyczy epizodu niewierności Michela, który doznaje nagle czegoś, czego wprowadzić nie można nazwać zalem doskonalem, ale co autor oddaje z przejmującą prawdą psychologiczną.

K. III

OBOK samochodu oczekuje Natałka, wyprostowana i skapaną w ślicznym świetle, które ją ogarnia; głowa bez kapelusza jest jak wycięta na tlenie niebieskiej przepaści, którą tworzy droga do Trianon, a cytryno-żółty kostium odbija od zielonego listowia głębi. Opadając ramię kończy się trzymanym w rękę czarnym kapeluszem. Natałka podnosi głowę ku słońcu tym samym ruchem, którym zwykła oczekiwać pocałunku. Tuż za nią długi rząd krzewów, biegnący wzdłuż drogi, lśni owymi złotawymi odcieniami, których oczekiwać się zwykło tylko od jesieni, i na bardziej jednostajnej tkaninie zarośli ich ulistwienie tworzy świetlistą koronkę. Cóż to jest w owym cieple, w owej twarzy, co wywołuje tu niego to gwałtowne przyspieszenie obiegu krwi? tę jakby iluminację wewnętrzną? Zdrowie, świeżość, siła — wszystkie te pojęcia stosują się do niej, ale jej dostatecznie nie wyrażają. Ten szeroki jasny odblask, który słońce zapala na powierzchni jej gładkiego uczesania, te małe falujące bliki, którymi nakłuwają ciemną masę loków opadających na szyję, te wyraźnie nakreślone brwi pod wielkim wypukłym czołem, te oczy, których jasność odgadywać trzeba pomiędzy czarnymi rzęsami, te nieco wystające i zaokrąglone kości policzkowe, ta twarz pełna pełnością owocu, te piersi jednocześnie przykryte i podkreślone przez koszulkową bluzkę, widniejącą w wycięciu za kietu, tak podobne do gotujących się do skoku zwierzątek — zbiorowisko tych obrazów nie wyczerpuje przedziwnej rzeczywistości, od której tak mocno wali serce. A przecież każdy z obrazów jest całkowicie zgodny z prawdą. Ta twarz o wyglądzie owocu, ma rów-

niez i pod wargami konsystencję i elastyczność moreli zerwanych na ciepło w szpalercze. Te piersi podobne do gotujących się do skoku zwierzątek, wywołały w nim, pierwszy raz, kiedy na nie spoglądał, przypomnienie słów z Pieśni nad Pieśniami: „Dwoje tych piersi jest jak dwoje sarni, jak dwoje koźląt gazeli pasących się pomiędzy liliami”.

— Wyglądasz, jakbyś był zły: — powiedziała ze śmiechem.

Czemu, czemu upiera się przy tym, żeby mówić mi takie rzeczy, skoro już raz powiedział jej, że go nimi rani? Lecz ona jest raczej zabawiona: dał jej w ten sposób broń przeciwko sobie.

— Złes trafila; właśnie podziwiałam cię od stóp do głów.

— Kochany, wybacz, jeśli ci sprawiłem przykrość, wiesz dobrze, że tego nie chciałam.

Uśmiecha się z błagalnym przymileniem.

— Czy coś się nie udało?

— Nic.

Problem 15.000 franków, które trzeba znaleźć przed piątym maja, oraz wykombinowanie, w jaki sposób zwrócić wydatkowi pożyczkę — to drobnostka. Ale na przyszłą niedzielę trzeba będzie pojechać do Banville, przewieźć Andrę i Zanetkę do Courbevoie, a wtedy, jak rozplanować swój czas, by móc się spotykać z Natałką? Jakie preteksty obmyślić dla Andry, żeby upozorować wyjazd? Trzeba będzie wpakować się po uszy w bagno kłamstwa. Kochać też piękną dziewczynę, zapożyczać się prowizorycznie w kasie przedsiębiorstwa, roztrwonić oszczędności dziesięciu lat, to wszystko dotyczy tylko jego samego i on sam za to odpowiada. Ale prząść dokoła Andry całą sieć kłamstw, to już jest coś obrzydliwego. Na przykład te listy, które trzeba było napisać, aby ją skłonić do przedłużenia pobytu w Haute-Pierre, zwłaszcza ostatni, w którym usnił legendę o jeździe do Grasse, po to tylko, żeby móc spędzić sobotę z Natałką. Co to będzie, kiedy mu przyjdzie wytrzymać wzrok Andry, spojrzenie tych błado niebieskich oczu, które wpatrują się w niego z taką ufnością i zdają się wołać: „Mam tylko tyle życia, ile ty mi dajesz”.

Natałka wsiadła do auta. Skoro tylko znajduje się przy nim, kładzie mu na twarzy swą chłodną dłoń i przyciąga do siebie. Piękne, półotwarte czerwone wargi i jasne oczy o rozszerzonych źrenicach są tuż blisko.

— Niemądry... Czyż nie jestem twoja?... I czyż cokolwiek innego może być dla ciebie ważne?

Może poczuła, że przez chwilę myśl jego opuściła ją? Aby go odzyskać, przybliżyła doń twarz; lecz nie wie, że to inna twarz rozdzieliła ich na moment. Oczy Natałki płoną pożądaniem, ale widać w nich również coś niejasnego, okrutnego, chęć usidlenia i zatriumfowania chęci, których nigdy nie mogłoby być w ufnych oczach Andry.

— Jest wiele rzeczy, których nie wiesz i wiedzieć nie możesz.

— Czemu mi ich nie powiesz. Byłabym tak rada ci pomóc!

Głoszcze powoli jego policzek od skroni aż do podbródka. Wyraz jej zmienił się, pełen jest niepokoju. Zrobił jej krzywdę, posadzając ją o chęć panowania: „Poco?! Czyż nam nie dobrze i tak?”

Z drugiej strony... Czemuż by jej nie miał wszystkiego powiedzieć?... Że jest żonaty, że nieobecna żona ma właśnie powrócić... A nawet wyznać jej wszystko o Andrze, opisać, co wobec niej odczuwa... Natałka jest zupełnie zdolna to zrozumieć... Lecz poco pozwalać sobie na ten taniutki sentymentalizm? Poco dać się powodować sprzecznym impulsom? Czyż nie można cieszyć się teraz niejszością bez pętania do tego przeszłości i przyszłości. Hypokryzja jest myśleć o Andrze pochylając się nad twarzą Natałki. Na szczęście, w wilgotnych i gorących warg tej ostatniej powoli wstaje upojenie, które pochłania wszystkie.

Jest już blisko siódma; Paryż jest o pół godziny drogi.

— Jeśli teraz nie ruszymy, nie zdążymy na obiad, kochanie.

— Mniejsza o to; zjemy frytki i andruty w garkuchni ulicznej. Zostańmy jeszcze chwilę. Ja tak lubię jarmark.

Karuzela obraca się w brzęku jaskrawego walca, pełnego chropowatych trzasków; na krągłym pomoście suną jeden za drugim grube białe i czarne koniki z drzewa, które po kolei wznoszą się i opadają, unoszone przez drążek miedziany wsparty o brzuch. Obok karuzeli, po rampie godzącej ukosem w niebo, mała armatka bierze rozpęd w kierunku malowanej blaszanej wieży, po czym ześlizguje się gwałtownie i znika poza głowami zgromadzonych gapiów; słychać wystrzały ze strzelnic, gdzie balansują ruchem wahadłowym bukiećki białych fajeczek; jacyś chłopcy z ręką na kierownicy przemykają się przez zwarty tłum ze swoimi rowerami. Ponad ryki orkiestr i megafonów przebija się mały strumyczek dalekiej muzyki i przeszywa serce jak świder. Karuzela zwalnia bieg i zatrzymuje się.

— Chodź, chodźmy!

Natałka wbiega na kładkę i schodki, które prowadzą na pomost; wsiada na konika i usadawia się po męsku; jej poddarta spódniczka odsłania gładkie kolana na których lśni jedwab pończoch.

— Prędej, siadaj tutaj przy mnie; jest wolny konik.

Sąsiedni konik przystanął w górnym etapie swego biegu. Z centrum karuzeli jakaś maszynka muzyczna zionie walcem „Die blaue Donau”, przy czym wstęga dziurkowana wydobywa się zwolna z metalowego gardła i układa się w harmonijkę. Urzędnik w czerwonej czapce wykrzykuje klaszcząc w ręce. Mała armatka wpada na relsy błyszczące na rampie i dosięgnąwszy jednym rzutem aż do blaszanej wieży, powoduje wybuch petardy, z której unosi się błękitna wy dymek.

Stopy Natałki chwieją się nie dotykając, nazbyt długich strzemion. Karuzela rusza. Koń Michał opada i mija rumaka Natałki, który wznosi się w górę na swoim drążku z żółtej miedzi. Jedwabista pończocha dokładnie opina wypukłą stronę kolana Natałki, podczas gdy we wgłębieniu stawu tworzą się maluteczkie zmarszczki. Potem koń Michał wznosi się a tamten opada. Dziewczyna z uszczęśliwioną miną obraca głowę na wszystkie strony, aby obejrzeć tłum, nad którym panuje. Pomiedzy dwoma rzędami kramików, głowy i ciała tłoczą się i krążą jak

I N E R K I

powieści

ziarnka na sicie... Błyszcząca rampa ze swoją armatką, strzelnica, huśtawki, rojące się od ludzi przejście — obracają się podług regularnego rytmu, pociągając za sobą wstęgę twarzy, otaczających karuzelę; a tymczasem toczy się coraz ściślej fala walca, punktowana strzałkami ze standu, wybuchami armatniej petardy i biciem wielkiego bębna, które przerywa tylko przenikliwy głos jakiegoś skoczka czy żonglera.

Poprzez powietrze obciążone zapachami słodyczy, poprzez lepką masę, utworzoną z głosów ludzkich i ryku mechanizmów muzycznych, znowu przebija się leciutka daleka melodia fletu czy też klarнету i rysuje na poblądnym niebie dziwną arabską, jednocześnie radosną tą samą radością, którą narzmiadła są wszystkie dźwięki wesołego miasteczka i tak czysta, tak delikatna, że przypomina profil jakiejś urodziwej twarzy... Twarz zawięta na blade — niebieskim niebie, połyskującym resztą blasku ponad domami i — tam na końcu alei — nad pałacem wersalskim, nad szpiczastym dachem kaplicy, która wynurza się z pomiędzy drzew... Twarz to powietrzna, prawie perfidnie słodka, tak wiele ma w sobie tajemnej mocy, tak jest w sercu wyrta... Twarz szczuplutka, której treść fizyczna jest niby krystalizacją powietrza, nie jakiegokolwiek powietrza, ale takiego, jakie przynosi ten właśnie wieczór, świeży a łagodny i przy tym złoty... Twarz — rzeźbiona uśmiechem, uśmiechem anioła z katedry w Reims... Obraz tej twarzy wytryska ponad labirynt płótnianych dachów, tak jak tamten unosił się ponad pilastami i kapitelami katedry i tak się opiera o niebo trącone złotem, jak tamten o miękki, spatynowany kamień stropu... Oto szyja pochylona ku przodowi, oto ostry łuk podbródka, szczupłe kości policzkowe. Jakże jest podobny do Andry! Ma tę samą łagodność, której bronią jest przenikająca kruchość, tę samą zdolność tkwienia w pamięci, jak igła w ciele żywym, to samo promieniowanie prawie niedostrzegalne światłością podobną do wody.

Cierpienie zaczyna podnosić się małymi targnięciami, jakby każdy z obrazków był smyczkiem sunącym po najwrażliwszym nerwie w najgłębszej głębi organizmu, jak gdyby patrzący na nie stał się jednym z tych kryształowych szkielec, które chwilami wibrują od uderzenia niewidzialnej fali. Oto twarz Andry, bez cienia wyrzutu, przeciwnie, z piętnem ukrytej radości, ożywiona uśmiechem bliskim lez. **Oto co mówił jej ostatni list:** „Tak, przechadzając się na wsi pośród kwiecia, odnalazłam w sobie ową dawniejszą małą dziewczynkę, która chodząc potajemnie płakać do sadu ponieważ kochała cię, a nie wiedziała, że ty ją również kochasz...” Owe wiosny roku 1925-go pojechał na dni kilka do Banville i wtedy to ją spotkał. Miała twarzyczkę różową i białą pod różowym i białym kwieciami, włosy złote pod złocistymi pręcikami ja błoni i grusz. Następnego lata, kiedy się zaręczyli, wyznała mu, że owej wiosny podczas owych samotnych przechadzek coraz to wy mowała z torebki lustreczko kieszonkowe i wpatrywała się z rozpaczą w swoją twarz, którą uważała za niegodną miłości.

Lekka, daleka nutka zginęła zdławiona hałasem jarmarku, tak, jak kwiat najpiękniejszy w bukiecie, najpierw wędnie i pochyla się, kryjąc swój kielich pomiędzy kwiatami mniej delikatnymi a jaskrawszymi. Lecz nawet po swym zniknięciu, pozostawia — jak niektóre ognie sztuczne — nie ruchomą gwiazdę w niebie — oblicze Andry, zwrócone ku niemu z wejrzeniem pełnym uśmiechu i czułości... Oblicze wolno kolysane w powietrzu, którego oczy nieustannie są w niego wlepione, niby — jak sobie wyobrażał dzieckiem — wpatrujące się w nas oczy dusz zbawionych. Czyżby była obecna tutaj obecnością śmierci? Czy zrealizowała w ten sposób życzenie, które pewnego dnia odważył się sformułować? Czy przeszedł po niej wóz ciężarowy, jak przez owego człowieka w Banville, którego oderżniętą od ciała głowę widział pod wozem z kamieniami? Zginęła, aby mu dać wolność, ale jaką wolność? Wolność jechania konno na drewnianym koniku tuż obok tej kobiety o twarzy przeziębionej kremami hormonowymi o włosach przygładzonych płynem rycynowych, o rzęsach klejonych kwasem stearynowym, o ciele, w głębi którego szukał spazmu rozkoszy.

Ach, Andra!... Gdybyż można ująć ją znowu w ramiona! W okrese ich szczęścia, kiedy leżała w jego uścisku, miała zwyczaj obracać z boku na bok, wśród rozplecionych włosów, szczuplutką białą twarzyczkę o zamkniętych powiekach. Twarz umarłej. Bylebyż tylko nie umarła! Byle nie umarła — gotów jest wszystko poświęcić. Lecz za chwilę, kiedy zgaśnie obraz poruszający go aż do jęku, co pozostanie z tego aktu strzelistego?... Wiara na dzień rozpaczy, a odstępstwo z chwilą ukojenia — co za podłość. Myśli kierowane przez wydzielinę gruczołów, jak powiada Ludwik. Modlitwne wezwania marynarza podczas burzy, a po wylądowaniu pijaństwo w tawernie portowej. Lecz czyż centurion rzymski wierzył zanim syn jego zachorował? A wszakże Jezus uzdrowił go. **Dereliquerunt me fontem aquae vivae. Uchodźłem przed nim, zaparłem się go. Obym nigdy nie został z nim rozłączony...** Pascal potrafił dochować wiary wspomnieniu ognia, jak płonął w nim w ciągu dwóch godzin wieczorem w dniu 23 listopada, dniu św. Klemensa, papieża i męczennika, oraz innych męczenników. Jakby się szło nocą na wsi, od jednego światełka porzuconego poza sobą, do innego, ledwie odgadniętego w gęstej ciemności. Może to jest właśnie nadzieja, owa projekcja wierności przed sobą?

Szerokie tyły białych i czarnych koników wznoszą się i opadają na końcu miedzianych drążków. Poryw wiatru kołysze czerwoną frendzlą płócienną sztory przed fasadą strzelnicy. Kolisty mur twarzy zwalnia biegu i żółte i zielone huśtawki, mrowiąca się ludźmi alejka, rampa, po której pędzi ku wieży armatka strzelnica — przepijają się po kolei rzutami nie równymi, porozdzielane pustką, jak cząstki koła loteryjnego, które zrazu złączone są ze sobą przez szybkość ruchu, potem zaś rozdzielone jego zwolnieniem. Karuzela zatrzymuje się. Natałka woła doń ze swego konia, który stanął dęba:

— Pomóż mi zejść!

Przerzuca nogę przez swego wierzchowca i daje się zeń zjechać. Michał ma pod dłońmi jej gładziutki boki, ponad występem, utworzonym przez biodra. Gdybyż dziś wieczór jeszcze raz jeden mieć to ciało w objęciu. To ciepłe ciało, pachnące ambra, po którym wiódłby ustami wzdłuż wszystkich gładkich płaszczyzn, jak gończy pies dyszący nad tropem... **Dereliquerunt me fontem aquae vive. Uszedłem przed nim, wyparłem się go, ukrzyżowałem go. Obym się nigdy z nim nie rozstawał.** Natałka schodzi po drewnianych schodkach.

— Już późno, Natałko; trzeba by wracać.

— Najdroższy, jeszcze moment! Obejdźmy budy.

Porywa go za ramię, pociąga ze sobą. Jest tuż obok niego, a jednak tak daleka, jak tylko jedna istota ludzka potrafi być od drugiej; pomimo to owija go sobą tak, jakby była jego odzieniem, jakby go trzymała wśród swych splecionych członków, jakby była jego własną skórą modelowaną na jego żywym ciele.

— Kochanie, taka jestem szczęśliwa! Uwielbiam wesołe miasteczko! Ach! Kupmy pralinek!

Są różowe i ziarniste, jest ich cała góra w błyszczącej misce z metalu. Z budy wieje oddech palonych migdałów i gorącego cukru. Ponad ladą, pełną pierników i nugatu, wiszą na drążkach zwoje różowej i zielonej słodkiej gumy.

— Proszę o torebkę pralinek. Stara kobieta w białej bluzie roboczej grzebie w górze słodyczy, napełnia trójkątną torbę z białego pergaminowego papieru. Natałka wkłada do ust pralinke.

— Masz, kochany, weź jedną. Może mi potrzymasz torebkę?

Atleta, na wytartym dywaniku o wyblakłym kolorze winnym, podnosi ku górze hantle. Ciepły zapach pralinek unosi się z torebki. Instrumenty dęte wyrzucają z siebie w siekany rytmie porykiwania ranionych zwierząt, przerywane biciem w bęben. Potem nagle hałas ten urywa się i w ciszy wiszącej nad wrzaskami wstaje owa melodyjka, jak cieniutka fontanna. Na estradzie ozdobionej lustkami i ściennymi malowidłami, wysoki chudy człowiek w wygniecionym smokingu siedzi na składanym stołeczku i wydobywa z fletu te powolne nutki, spadające na serce jak krople. Obok niego stoi chłopak przebrany za pierrota, z twarzą posmarowaną białą pastą i wielkimi ustami z karminu, czeka na coś, jak sławny Gille z obrazu Patteau. W rękę trzyma kornet. Śpiew fletu wspina się aż do wysokiej nuty, przez chwilę trwa na niej, po czym w dwóch skokach opada i ustaje. Człowiek w smokingu kładzie swój flet na krzesło, łapie za pałeczki i daje wielkiemu bębnowi kilka gwałtownych uderzeń. Pajac przykłada do warg swój instrument. Chudy wygnieciony człowiek rzuca pałeczki i porywa puzon. Dziesięć — czy dwunastoletnia dziewczynka, o twarzy bez żadnego wyrazu, ubrana w białą baletową sukieneczkę, ze złocistym diademem na białawych włosach, występuje na środek estrady: instrumenty dęte rozpoczynają odwijać frazę muzyczną powolnego walca. Dziewczynka podnosi niechętnie ramiona i poczyna tańczyć, wyprężając najpierw jedną, potem drugą cienką nóżkę, ujętą

do pół łydki w skrzyżowane sznurki baletowych pantofli. Muzyka przyspiesza taktu. Gruby drab w kamizelce i rękawach od koszuli dobrał się do bębna i podkreśla rytm. Człowiek kornetu ciska jaskrawe kolory na akompaniament puzonu; głuchy tupot sandałów na deskach, rozdzierające akordy dokonywane przez instrumenty dęte tworzą ogłuszający wir, podczas którego mała tancerka ani na chwilę nie przestaje wykonywać swoich wolt i glisad. Robi point'y, podnosi falistym ruchem ramiona nad głowę, obraca się na jednej nodze, podnosząc drugą pod kątem prostym, przy czym ukazuje pod naszywaną pajątkami (pailletkami) sukienką, chudziutkie pośladki opięte w biały trykot. Kołysaniem głów i ruchami ramion tłumkuje takt melodii. Chudy człowiek w smokingu dmie w swój puzon, wpatrzony gdzie indziej; brwi mu się opuszczają od środka czoła ku skroniom i nadają wyraz głębokiego zatroskania. Pierrot wiję się i skierowuje we wszystkich kierunkach — do płóciennego sufitu, do widów — swój instrument, niby trąbę sądu ostatecznego, na cztery strony globu ziemskiego. Tancerka, jak oszalała baka, kręci się na koniuszkach palców złączonych nóżek; ręce ma rozpostarte, twarzyczkę posępną, oczy podkreślone na błękitno; jej ruch ma coś z oszalałego zwierzątka. Wreszcie robi skok i opada w klasycznej pozie **grand ecart**, nieruchoma, z główką przechyloną na ramię, jak złamana lalka. Pierrot, z kornetem celującym w sufit, w ostatnim apelu do jakiegoś nadaremnie o

coś upraszanego bóstwa, wydaje nieskończenie długi ryk, podobny do wycia statku w chwili odjazdu, do tego nieludzkiego wołania, syreny okrętowej, która krzyczy do podróżnych, że rozstanie się zostało dokonane... Spełnione rozstanie... Na serce, które przez chwilę drgnęło buntem, schodzi wielki spokój, jak stąpienie bóstwa na wrzące fale wodne. Tężejszość zostaje nagle pochłonięta, z całym kawałem przyczepionej doń przeszłości, jak z kamieniem, i woła zamyka się nad nimi, a na jej powierzchni nie pozostaje nawet zmarszczka.

Czy to on sam, Michał, właśnie tę przeszłość przeżył? Czy kryją się w nas jakieś inne JA, które pewnego pięknego dnia wychodzą na jaw, żyją przez czas pewien na naszym miejscu i nagle wyrzekają się życia, rozplywają się, wracają do swej kryjówki? Jakież łatwe, ale jakie absurdalne uspokojenie przy wizji siebie samego, tak jakby można było być obok siebie, nazewnątrz siebie... Grzech nie jest plamą, która stanowi jakiś dodatek do duszy, podobnie jak brud na ciele: jest straszliwym cierpieniem całej ludzkiej istoty, w opuszczeniu i samotności mroku, którego się mu samego zażądało. Najmniejszy skrawek do nas należący nie zdoła się od tego cierpienia uchronić.

— Natałko, jedziemy! Pierot wielkim głosem zaczął swoją zwykłą przemowę do tłumu; jego ogromne usta rozwarły się jakby się śmiały; spojrzenie ma zatroskane i zmęczone.

Przekład
Kazimierzy Illakowiczówny

Anna Pogonowska

Kontemplacja

*Pod szpadami sklepienia ciemności i tęcze
Gromione piorunami kolumn zlatujących
Drżą jak pióra serafa przeszytego wołą
Rozkruszającą w biel serce.*

*W katedrze, która tylko glazem czas uwiera,
Skarłalej w babilońskich miastach, na obłoku
Cierpienia umurowanej, spiętrzonej od prochów
Żywych, którzy umarli — żyje i umieram.*

*— I z godzin w które jestem wgnieciona, z promieni
Przebiegających ciał, ze skalistych nocy
Wydobynam się z żądzą. I rodzę owoce
Które zrzucam jak ciężar ziemi.*

M. J. Kononowicz

G ó r n i k o m

*A tobie, bracie, serce trzepece pod bluzą —
Mrugasz powieką — cmy skrzydłem, ciężkim od sadzy.
Czarny, kamienny chleb — nie sobie i nie Muzom:
Polsce i światu kruszysz w diamentowe glazy.*

*Oczom — ekran kamienny, zamiast horyzontu —
Spod kilofa nie tryśnie lazurowe lustro —
Noc jest — czy dzień? — ty nie wiesz tego, bo i skąd tu
Słoneczny promień oczom — i powietrze ustom.*

*Bywa co dnia, bywa — błękitem się zachłyśniesz,
Bywa — w niejedną noc — gwiazdy skosisz spojrzeniem —
Sierpem oczów stalowych brzękniesz i odbłyśniesz,
Zanim cię znów skafander opuści pod ziemię.*

*Masz pod bluzą najczulszy sejsmograf, co chwytła
Szyfr oskardów ze wszystkich na świecie kopalni —
Wiesz, że ziemia jeszcze na przestrzał nie przbita
I wiesz, że jeszcze węglem pyski armat karmią.*

*I wiesz: twój głos więcej waży — i niesie dalej,
Silniejszy o chleb, którym ożywasz motory —
Krzykniesz P O K Ó J — to jakbyś iskrą cięł dynamy,
By pięścią ognia buchnął między oczy — wojnie.*

Jean Jacques Brieux

Chiny Mao Tse-tunga 2)

L U D Z I E



Mao-Tse-tung, wódz Chin Ludowych

Komunistyczna Partia Chińska przeszła bardzo twardą szkołę. Poza okresem porozumienia, poza pierwszymi krokami stawianymi razem z Kuomintangiem i krótkim okresem spokoju, który nastąpił po wypadku w Sian, zepchnięta do najuboższych połaci kraju znalazła ona tylko walkę zarówno przeciwko wrogowi wewnętrznemu jak i zewnętrznemu.

Partia komunistyczna założona została w Chinach zaraz po zakończeniu pierwszej wojny światowej przez grupę intelektualistów marksistowskich. Jej pierwszym przywódcą był Czen Tu-hsiu. W 1921 roku odbył się pierwszy kongres partyjny. Partia liczyła wówczas niewiele ponad kilkuset adeptów. Niedługo potem grupa ta stworzyła wspólny front z ówczesnym rewolucyjnym Kuomintangiem Sun Yat-sen'a, a członkowie jej uzyskali prawo wstąpienia do Kuomintangu. Niektórzy z nich brali udział w pierwszym kongresie narodowym Kuomintangu w 1924 roku. Sun Yat-sen, który w okresie lat powojennych coraz bardziej zwracał się w stronę Związku Sowieckiego, zdawał on sobie doskonale sprawę, że rewolucji nie mogą przeprowadzić sami intelektualiści, że muszą oni mieć oparcie w robotnikach i chłopach wykształconych i możliwie dobrze zorganizowanych.

Przymierze tych dwóch partii miało ciekawe następstwa. Na powierzchni całego kraju potworzyły się związki i zrzeszenia, które przygotowywały drogę armiom rewolucyjnym. Sukces był jednak krótkotrwały. Po zdobyciu Szanghaju, Czang Kai-szek rozpoczął krwawą walkę i eksterminację lewicowych elementów.

To zerwanie wspólnego frontu tak przecież gwałtowne, było

jednocześnie zrozumiałe. Bogacze życzli sobie powstania „silnego ładu“ na wzór republiki Yuan Shih-kai (generał dyktator, który po rewolucji republikańskiej w 1911 roku zniósł republikę i żądał ukoronowania go). Byli oni zdeklarowanymi wrogami każdego ruchu powszechnego a szczególnie związków zawodowych i każdej innej formy kontroli politycznej, ekonomicznej czy społecznej, która mogłaby ograniczyć ich przywileje. Zdobycie Szanghaju, skupiska kapitalistów chińskich i cudzoziemców, przechylała szalę na stronę elementów antyrewolucyjnych i przyczyniło się do popierania idei rozdziału.

Podczas następnych 10 lat Chin przeżywały okres krwawego ucisku. Ten biały terror kosztował kraj kilka milionów trupów, 10 milionów uciekinierów wygnanych ze swoich okolic. Olbrzymie połacie kraju stały się łupem bandytów. Z powodu braku nadzoru szereg tam zostało przerwanych i woda zalała wsie, ziemia nie była w ogóle uprawiana lub bardzo słabo, nadeszły okresy głodu. Pod ciosem policji państwowej padło b. wielu członków partii komunistycznej.

W 1928 roku Mao zorganizował małą grupę pod nazwą „Oddział samoobrony chłopskiej“, którą przydzielił następnie do granicznego pasa Kiangsi-Hunan wraz z armią generała Czu-Teh. W ten sposób powstał „czołowy okrąg radziecki“, który był awangardą „Czołowego powiatu“ i „Powiatów wyzwolonych“. Dwa lata później istniało już 10 takich samych małych okręgów czołowych.

Czang zwrócił się przeciwko bazie komunistów znajdującej się w Kiangsi. Zastosowano ostrą blokadę, zorganizowano cztery kolejne wyprawy ekster-

minacyjne, wreszcie nacisk oddziałów rządowych stał się tak mocny, iż trzeba było ewakuować całą okolicę. Nastąpiło bohaterkie przebiecie się armii komunistycznej. Z początku nie wiadomo w którą stronę się skierować. Marsz rozpoczął w kierunku Yunnan na płd. wschód, potem na płn. zachód. Był to słynny „Długi marsz“. Armia komunistyczna składająca się z 90.000 ludzi musiała zrobić od 8 do 10.000 km przechodząc 18 łańcuchów górskich, 24 rzeki, przebijając się przez blokady 10 kolejnych armii prowincjonalnych, zdobywając po drodze 62 miasta. Całą tę drogę odbyć musiano pieszo, z szybkością 35 km na dzień, kilka zrywających minut musiała wystarczyć na transport rannych i materiałów. Z początkowej armii pozostało tylko 10.000 ludzi, ale dołączyli do niej nowi. Był to na równi z marszem Carlos Prestes w 1927 r. w Brazylii i ucieczką 10.000 w 401 r przed Chrystusem, jednym z najbardziej wyczerpujących wyczynów w historii świata. Zwycięski marsz, pełen niesłychanej wytrwałości i wiary, Długi Marsz stał się tematem szeregu poematów i pieśni.

Mieszkańcy Yenan już zbuntowani przeciwko rządowi centralnemu udzielali komunistom pomocy. Wtedy zorganizowano „Czołowy Okrąg Yenan“, który stał się nową bazą rewolucyjną w Chinach.

W tym okresie dopiero ujawniły się w całej pełni zalety Mao Tse-tung'a. Stał on na czele rządu i rozpoczął bez straty czasu przeprowadzać reformy. W całym Chinach nie istniał chyba okrąg tak biedny i nędzny jak Yenan. Ziemia podła, klimat zły, ludność uboga no i spuścizna po atakach Kuomintangu i Japończyków. A przecież to właśnie tam powstało to ze wszechmiar nadzwyczajne narzędzie w służbie narodu jakim jest związek partii, rządu i wojska, które miało osiągnąć znany nam już dziś sukces.

Tak brzmi historia. Partia komunistyczna wyszła już z okresu wstępnych przygotowań, zbudowała sobie solidną bazę, którą miała opuścić tylko raz jeden w 1946 r. na przeciąg kilku miesięcy, ugruntowała się na swoim terytorium geograficznym, ustaliła swoich przywódców i swoje metody postępowania oparte na dotychczasowych doświadczeniach, widziała jasno swoje cele poprzez ścisły kontakt z warstwą chłopską, jednym słowem partia mogła rozpocząć swoje dzieło.

Zgromadzenie Narodowe stanowi najwyższe ciało organizacyjne Kungezantangu. Z powodu różnych przeszkód nie zbierało się ono przez 17 lat, lecz natychmiast po zakończeniu wojny w 1945 r. zostało zwołane ponownie. Zgromadzenie wybrało Komitet Centralny, który miał reprezentować w górze partii Zgromadzenie Narodowe w czasie przerw pomiędzy poszczególnymi sesjami. Następnie Komitet Polityczny powołał Biuro Polityczne, które jest ciałem stałym i działającym, a które stanowi zarząd partii. Na czele tej instytucji stanął Mao-

Tse-tung. Wraz z nim członkami Biura są Czu-Teh — generał głównodowodzący, Czou En-lai, wiceprezydent, któremu powierzone zostało prowadzenie spraw zewnętrznych, Jen Pe-shih odpowiedzialny za Wydział Gospodarczy i Finansowy Liu Shao-chi — sekretarz generalny partii, odpowiedzialny za odcinek organizacyjny, administracyjny i doktrynalny.

Wysiłek partii poszedł przede wszystkim w kierunku pobudzenia ludzi do czynu, rzucania idei, podtrzymywania każdego ruchu, popierania ludzi bardziej uświadomionych, bardziej konstruktywnych niż inni. W każdej wiosce można zawsze znaleźć ludzi, którzy łączą w sobie wiarę i wytrwałość z talentami intelektualnymi i zręcznością działania. Wystarczyło dokształcić ich trochę aby już byli zdolni do przeprowadzania z doskonałym wynikiem wszelkich reform na dostępnym sobie płaszczyznach i w najrozmaitszych dziedzinach jak np. postępowanie lokalnej milicji, uprawa kukurydzy, czy fabrykacja granatów. W tym systemie wpływ partii polegał na pośrednim działaniu ich członków, którzy musieli wykazywać się zawsze największą aktywnością i najwyższym poziomem. Największą słabością Kuomintangu, partii w swoim założeniu rewolucyjnej, było właśnie stałe przekształcanie się w związek obrony własnych interesów. Członkowie jego, których początkowo łączyły więzy idealizmu politycznego i pragnienie walki dla osiągnięcia „nowego życia“, w końcu interesowali się tylko osiągnięciem korzyści. Ludzie ci, członkowie partii, po dojściu do władzy przemienili się w urzędników, tworząc ze swoich stanowisk rodzaj „ynkur“, a partia stała się ich ochronnym związkiem zawodowym, który miał bronić zdobyte przez nich przywileje. Partia komunistyczna ostro zwalczała takie objawy. Każdy członek partii, który nadużywał swojej władzy, zostawał bezlitośnie usuwany.

Inicjatywa dla każdego! — to było hasło, za pomocą którego partia budziła świadomość obywatelską u mieszkańców wyzwolonych okręgów. Z ciemnej masy analfabetów usiłowała ona stworzyć społeczność świadomą, której pierwszą troską stłoby się osiągnięcie wyższego poziomu intelektualnego. Tu leży powód, dla którego oświata stała się zasadniczym celem partii. I może właśnie w tej dziedzinie zadanie jej było najtrudniejsze do spełnienia. Można wśród żołnierzy jak i wśród robotników i chłopów rozbudzić poczucie odwagi i posłuszeństwa oparte na woli obrony kraju lub zachowania pewnych reform, które stały się dla życia ludzkiego niezbędne, ale wykształcenia i techniki nie można improwizować. Chiny komunistyczne pozbawione były tego co nazywamy kadrami Ludzie dzierżący urzędy we władzach miejskich pragnęli czytać, pisać, poznać trochę prawo, chłopci łaknęli wiadomości z botaniki i chemii, robotnicy żądali wykładowania technicznego. Wraz z obudzeniem się

świadomości obywatelskiej nastąpiło dążenie do wiedzy. W miarę jej postępu świadomość społeczna stawała się jeszcze silniejsza.

Najciekawszym przykładem był w tej dziedzinie sposób w jaki przeprowadzona została reforma rolna (w naszym czwartym artykule punkt ten zostanie omówiony dokładniej). Wydawałoby się, że aby taką reformę przeprowadzić należy wypracować w górze prawa zaopatrzone w instrukcję odnośnie metody wprowadzania ich w życie i wydać odpowiednie polecenia podległym sobie władzom. Jest to normalny sposób postępowania w państwach o ustalonej hierarchii strukturalnej. Reformy są tam opracowywane przez rząd i wydawane w formie praw lub dekretoów. W Chinach również w ciągu tysiącleci zdarzało się często, że jakiś funkcjonariusz Dworu, który uważał przeprowadzenie jakiejś reformy za rzecz słuszną, uzyskiwał pozwolenie od cesarza na stworzenie odpowiedniego prawa. Lecz równie często te cudowne prawa rozesłane na cztery krańce cesarstwa kończyły swój żywot w archiwach prowincjonalnych. Podobnie smutny był los prób młodego cesarza Kwang-Siu przeprowadzenia reform w celu uratowania chwiejnej monarchii przez zdemokratyzowanie jej systemu. Cesarzowa wdowa zorganizowała zamach stanu, spowodowała uwięzienie bratanka...

W dzielnicach wyzwolonych, przeciwnie, ludzie odpowiedzialni za sprawowanie rządów doszli do przekonania, że reformy muszą być przeprowadzane przez lud.

Trzeba w związku z tym pamiętać, że chłop chiński nie słyszał nigdy o istnieniu innego ustroju jak ustrój feudalny i nie wyobrażał sobie, że inna struktura społeczna może istnieć. Toteż z początku obniżenie czynszu dzierżawnego nie było uznawane przez tych, którzy powinni byli najwięcej z takiej zmiany skorzystać. Chłopi podpisawszy kontrakt zawierający łagodne dla nich warunki, zgłaszali się następnie do właściciela ziemi i zapewniali go, że będą nadal płacić owe wygórowane opłaty. Tak wielką była moc wrodzonej trwogi w obliczu panów! Reformy zostały wprowadzone w życie nie na drodze nakazu lub zachęty. Wiadome jest, że żadna przemowa nie zastąpi przykiadu. Wybrano kilka wsi i tam najbardziej rozbagniętym mieszkańcom wytłumaczono o co chodzi. Ci z kolei wyjaśniali zagadnienie swym współmieszkańcom.

Po przeprowadzeniu reformy w jakiejś gromadzie wiejskiej, kiedy nowe formy organizacyjne zaczęły działać rozsyłano do sąsiednich wiosek krótkie komunikaty, które mówiły po prostu: „w takiej a takiej wsi przeprowadzono taką a taką reformę. Rezultaty jej były następujące“. Najczęściej na skutek takiego zawiadomienia zaciekawieni mieszkańcy sąsiednich wsi przychodzili na miejsce zobaczyć o co chodzi. Najczęściej bywali oczarowani tym co wi-

dział i po powrocie do swoich mówili: „Dlaczego nie mieliśmy zrobić tego samego?”. W ten prosty sposób reformy szerzyły się szybko, rozlewając się po kraju na kształt wielkiej płamy oliwy. Rząd nie narzucał żadnych norm. Zdarzało się, że popełniano błędy, zdarzało się również, że ktoś występował z niezwykle wartościową inicjatywą. W obydwu wypadkach wsie porozumiewały się nawzajem i służyły sobie radą i przykładem. Jeśli jakaś wieś popełniła błąd, uprzedzała sąsiednie by nie popełniły go również. Jeśli zaś jakieś posunięcie okazywało się korzystne, przeprowadzane zostawało przez wszystkich. Powodzeniem albo niepowodzeniem były kamieniem probierzym reform.

Partia utrzymując ścisły kontakt z ludnością otwierała wolny wstęp na zebrania swoich komórek dla niepartyjnych, zachęcając ich do wypowiedzania swego zdania o jej działalności. Każdy miał możność stwierdzenia, że żyje w ustroju dyktatury proletariatu (robotnika i chłopca).

**

Ruch, który rozpoczął się od dołu, był przez te doły niezwykle wysoko ceniony. Czyż nie one były jego autorami? Można było być pewnym, że pomimo Japończyków czy Kuomintangów będą one ze wszystkich sił bronić swoich zdobyczy.

Ludzie kierujący chińską partią komunistyczną są ludźmi nieprzeciętnymi.

Wszyscy dyplomaci i dziennikarze, którzy w okresie wojny mieli możność porównania ludzi Czunkingu i ludzi Yenana zgodnie powtarzali, że zespół Kungczantang był niezwykle ofiarny. Uważali się oni za narzędniki ludu. Pracując w służbie swojej sprawy deklamowali oni wszelkich sił aby uchwycić pragnienia tych 100 czy 200 milionów ludzi, zrozumieć je i zaspokoić.

Zapytywano często Mao dlaczego, kiedy na Boże Narodzenie 1936 roku Czang został uwięziony w Sian przez zbuntowanego generała Czang Hsu-Liang, interweniował w jego sprawie i prosił o uwolnienie dyktatora. Wiadomym było powszechnie, że pierwsza żona Mao zamordowana została przez ludzi dyktatora, jeden z synów zginął w czasie Wielkiego Marszu, że dziesiątki tysięcy komunistów zginęło z głodu było torturowanych po więzieniach i obozach koncentracyjnych, dziesiątki tysięcy zginęło na polu walki. „Nie dopuściłem do tego — odparł Mao — bo zamordowanie jego nie doprowadziłoby do niczego. Było więc bez sensu. Czang reprezentuje pewien system, jest dużo słusniejsze by unicestwić system”.

Faktem jest, że sytuacja jaka się w kraju wytworzyła była tego rodzaju, że jakieś wielkie przeobrażenie społeczne było rzeczą nieuniknioną. Pierwszym kierownikiem tych sił był Mao.

Natychmiast po zdelegalizowaniu partii przez Czanga powstała ona na nowo i prowadziła swoją działalność w określonej przestrzeni geograficznej. Odseparowana w górach Kuangsi, partia rządziła.

Przywołana przez wojska Shensi na pomoc w buncie przeciwko Czangowi partia ulokowała się w Yenanie i działała na-

dal. To znaczy dalej przeprowadzała zamierzone w swoim planie reformy. Rezultaty takiego postępowania były widoczne. Następnie partia wystąpiła do walki przeciwko Czangowi i przeciwko Japończykom. Musiała dostosować swój system rządzenia do wymagań walki. Musiała imпровizować armię, rolnictwo wojenne i przejąć myśl wojenną. I musiała dostosowywać je możliwie dokładnie do lokalnych warunków. W razie niepowodzenia groziło jej niebezpieczeństwo zarówno unicestwienia przez wojska japońskie jak Czanga. Oparciem partii był lud.

**

Mao Tse-tung i przywódcy komunistyczni w Chinach są względnie mało znani. W czasie szeregu przedwojennych jeszcze lat i w okresie wojny aż do 1943 roku, rząd nacjonalistyczny stosował w stosunku do dzielnic opanowanych przez komunistów ścisłą blokadę nie dopuszczając do nich ani dopływu towarów ani ludzi, a w szczególności dziennikarzy. Pierwsi Amerykanie i Anglicy dostali się tam dopiero w 1943 roku. W 1946 roku żelazna kurtyna opadła znów, nie z winy komunistów ale dlatego, że Czang ponownie zabronił wszelkich podróży w kierunku stref komunistycznych. Każdy kto usiłował się tam przedostać podpadał pod „rozkaz powszechnej mobilizacji do walki z komunistami” z dnia 18 lipca 1947 r. i podlegał karze śmierci. Jest rzeczą zrozumiałą, że dziennikarze przestali się tam wybierać. To też tylko w ciągu bardzo krótkiego czasu miano okazję zapoznać się z osobą Mao i jego towarzyszami.

Wszyscy którzy w latach 1944, 45 i 46 przybywali do Yenana nie mogli nadziwić się skromnym warunkom w jakich żył Mao w porównaniu z wystawnym trybem życia w Czunkingu. Przez długi czas żył on w grocie, zajmując wraz z żoną i dziećmi trzy małe pokoiki i prowadząc życie tak samo proste jak i jego współtowarzysze Reporterów przyjmował na zboczach doliny koło wejścia do swojej jaskini. 50 mtr. dalej mieściły się jaskinie, gdzie żyły inne rodziny. Dzieci zbiegały się z różnych stron i bawiły koło tego człowieka, który już od pewnego czasu zarządzał 100 milionami Chińczyków. Tam i z powrotem dróżkami przechodzili ludzie. Nie było nikogo kto by go pilnował, nie istniał żaden tego rodzaju aparat. Żona jego wychodziła i wracała, szykowała posiłki i podawała dziennikarzom napoje chłodzące i małe ciasteczka. Jego młodszą córeczką przychodziła podawać rękę gościom i siadała na kolanach ojca lub bawiła się w pobliżu; człowiek ten prowadził przy obcych ten sam tryb życia co i każdego innego dnia.

Mao urodził się w roku 1893 — we wsi prowincji Hunan, Hsiang tan, w głębi pld. Chin. Była to prowincja kilkakrotnie wyniszczana przez wojny. Jej mieszkańcy, jedno z najprymitywniejszych plemion Chin, cieszyli się ustaloną opinią trudnych do ujarznienia. Ojcem jego był biedny chłop, który po długiej służbie w wojsku kupił sobie kawałek ziemi, dawał sobie jakoś radę i mógł pozwolić sobie nawet na wykształcenie syna.

Rodzice Mao, przepojeni duchem tradycji i religii byli dla niego surowi, ojciec bił go często. Wychowywano go w wierze buddyjskiej.

Uzyskawszy stypendium pojechał studiować w Czangsha, stolicy prowincji i największym mieście. Obdarzony otwartym umysłem Mao pożerał książki z biblioteki miejskiej, przychodząc do niej w godzinie jej otwarcia, wychodząc dopiero gdy wyganiano go przed zamknięciem drzwi. W tej epoce swego życia był on świadkiem szeregu zdarzeń, które wywarły na nim bardzo silne wrażenie. Pierwszym z nich był bunt biedaków wywołany nędzą. Bunt został zgnieciony a seria uciętych głów głosiła jego zakończenie. Trochę później wsie sąsiadujące z wioską rodzinną Mao zbuntowały się przeciw swojemu panu. Sankcje zastosowane przez sądy były równie niesprawiedliwe jak brutalne. Wreszcie był Mao świadkiem scen takiego głodu, kiedy wycieńczeni chłopcy rzucili się na składy żywności swego pana. Nigdy nie miał zapomnieć obrazu nierówności społecznej i nędzy. Studiując Mao czuł się trochę zdezorientowany. Jako syn chłopca rozumiał sprawy ludu; opowiadał często, iż był dużo mniej skrupowany niż jego koledzy, gdy musiał nosić swój bagaż uwiązany do dwóch końców bambusowego pręta. Mao mówił: „Ludźmi najczystszymi są robotnicy i chłopcy, chociaż ręce ich są brudne a nogi pokryte nawozem krowim a przecież są oni czystszy od przedstawicieli burżuazji”.

Jako pomocnik bibliotekarza w Peita, na narodowym Uniwersytecie w Peipin Mao wziął udział dnia 4 maja 1919 w ruchu skierowanym przeciwko 21 żądaniom Japończyków. W następnym roku ożenił się. Postąpił tak jak to robiło już szereg studentów, ożenił się według własnego wyboru z młodą dziewczyną nie stosując się do zwyczaju tradycyjnego, który kazał aby wyboru żony dokonywali rodzice i zgodnie z którym młoda para bardzo często widziała się po raz pierwszy podczas ceremonii zaręczyn. Wybraną Mao Tse-Tunga była studentka imieniem Yang Kai-hui. Małżeństwo to trwało przez 10 lat i było wzorem dobrego małżeństwa. W 1930 Yang została zamordowana przez Ho Chien, przywódcę Kuomintangu w Hunan.

W tym okresie studenci, którzy dążąc do wzmocnienia swego antyjapońskiego ruchu czynili próby połączenia się z ludem, poznawali bliżej chłopca i robotnika. Jednocześnie entuzjastycznie się rewiolucją radziecką. Mao zaczął studiować Marksa. W 1921 r. brał udział w pierwszym Kongresie Partii Komunistycznej. Sun-Yat-sen był również pod wpływem rewolucji radzieckiej. W ten sposób doszło do porozumienia pomiędzy członkami Kuomintangu a komunistami. Mao został wydelegowany na pierwszy Kongres narodowy Kuomintangu w 1924 r. W Szanghaju stał się członkiem biura partii, wydawcą tygodnika partyjnego i krótko mówiąc szefem propagandy. Jego wybitna indywidualność sprawiała, że szybko awansował w drabinie hierarchii partyjnej.



Chu Teh, Naczelnik Dowódca Chińskiej Armii Wyzwolenia Narodowego

W 1927 Mao został wysłany do Hunanu w celu zbadania federacji chłopskich, które w tej prowincji powstały i które zagarnęły władzę w swoje ręce. Jego sprawozdanie bardzo korzystne dla związków chłopskich spowodowało wybranie go przez nich na prezesa rolniczych związków zawodowych. Niedługo potem nastąpił zamach stanu przeprowadzony przez Czanga, związek został rozwiązany a pokaźna część jego członków rozstrzelana.

Mao spędził w Hunan 32 dni studiując cały ten ruch. Pozostawił on na nim duży wpływ.

W swoim sprawozdaniu Mao pisał: „Kilkaset lat liczące przywileje i panowie feudalni zostali zwalczeni a związki chłopskie objęły władzę”.

W czasie Długiego Marszu Mao zdał egzamin jako przywódca. Okazał się on najbardziej dynamicznym organizatorem rządu w Yenanie. Podczas 7-go Kongresu partii komunistycznej został on wybrany jej przewodniczącym.

Jeżeli chodzi o stronę fizyczną Mao Tse-tung jest człowiekiem barczystym, dość wysokim, o twarzy pełnej i wyrazistej ukształtowanej. Czoło ma wysokie, włosy intensywnie czarne. Jeśli jego wygląd fizyczny nie ma cech „błyskotliwości” i „marsowości” jak wygląd Czanga to zato czyni on wrażenie solidności, spokoju i pewności. Mao jest cichy, głos jego ma brzmienie prawie kobiece. Ruchy jego są spokojne a kiedy nosi swoje okulary w żelaznej oprawie wygląda raczej na nauczyciela niż na chłopca. Towarzysze jego okazują mu niezwykle szacunek i przyjaźń. Potrafił on stworzyć wokół siebie atmosferę prawdziwej demokracji, władza jego jest niezaprzeczoną. Posiada on ją z woli i ze zgodą wszystkich.

Siła jego woli jest legendarna. Kiedy był jeszcze zupełnie młody w czasie szalonego gwałtu pędzonego przez wiatry Mongolii stawał nago na dworze „aby zwalczyć własne ciało”. W

Yenan Mao ożenił się po raz drugi z Laou Ping, aktorką teatralną i kinematograficzną, którą będąc od 1933 roku członkiem partii komunistycznej wołała porzucić sukcesy sceniczne, by pracować nadal czynnie w partii

Mao czyta po angielsku równie płynnie jak po chińsku. Jego kultura jest wielka a znajomość świata zewnętrznego bardzo dokładna i uderzająca każdego cudzoziemca, chociaż sam nigdy nie opuszczał Chin. Mao nie zaniedbuje nigdy szczegółowego wypytywania każdego cudzoziemca który się do niego zgłosi. W jego otoczeniu znajduje się wielu ludzi którzy odbywali studia zagranicą w większości we Francji, Mao nie omieszkwał dowiedzieć się od nich wszystkiego co mogli mu powiedzieć.

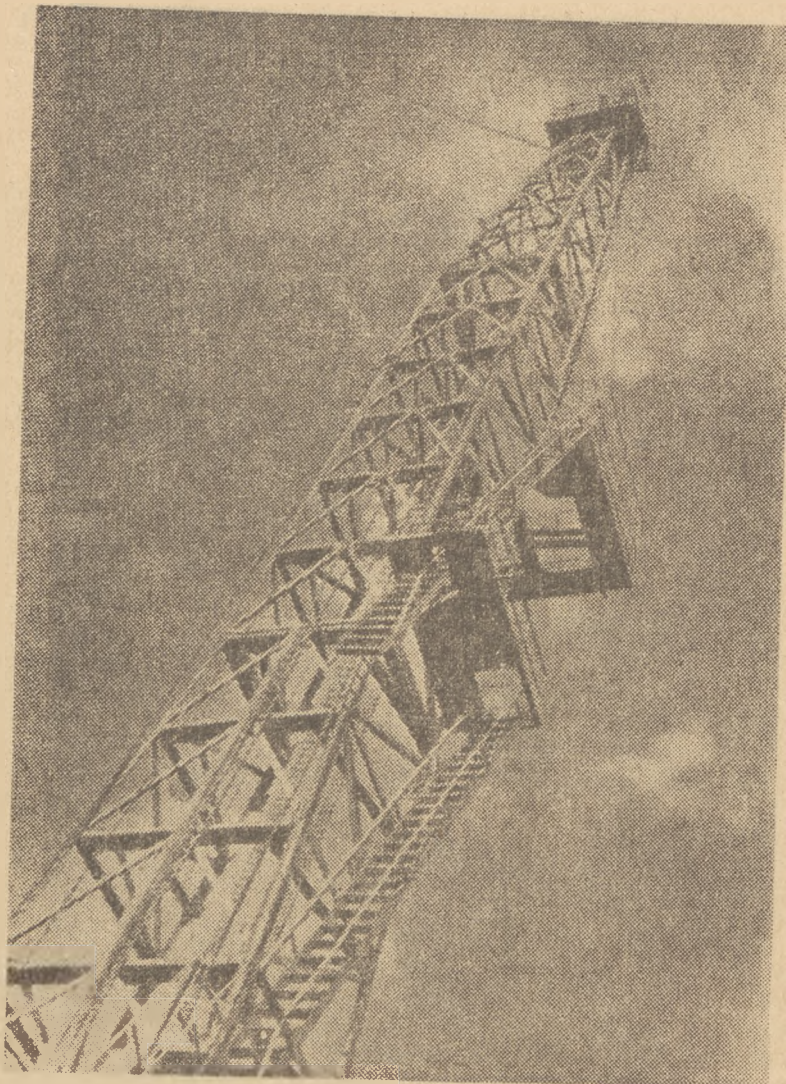
Mao jest autorem wielu poezji które zostały wydane pod tytułem „Poematy o piasku i wietrze”. Wydrukowano je w bardzo niewielu egzemplarzach, tylko jego najbliżsi przyjaciele otrzymali je. Powszechna opinia twierdzi, że wiersze te są doskonałe i że zrobiły z Mao jednego z najlepszych poetów Chin.

W końcowym okresie Długiego Marszu Mao napisał o znamienity wiersz, którego ostatnie strofy niejednokrotnie były już cytowane.

Niebo jest wysoko
Chmury skaczą jak kobrałki
Patrzę jak za horyzontem szukają
w stronę południową dzikie gęsy

Liczę na swoich palcach
Odległość 20.000 li
I mówię wam
Nie jesteśmy bohaterami jeśli nie
dotrzemy do Wielkiej Doliny

Jestem na najwyższym szczycie
Sześciu Gór
Czerwony sztandar furkocze
na wschodnim wietrze
A mną ogarnia zachwyty
że tak szybko
Będziemy mogli spętać potwora.
(dokończenie na str. 12-tej)



Wieża wiertnicza przy stoisku radzieckim.

Eugeniusz Paukšta i Wojciech Żukrowski

Obiektywem

Jedna większa od drugiej, bardziej skomplikowana bardziej precyzyjna i wymyślna, niewątpliwie bardzo potrzebna i pożyteczna — to i wszystko. Dalsze wnioski są natury ogólnej: Plan sześciolletni, niezależnie się od dostaw zagranicznych, wzrastające możliwości dalszego rozwoju, skuteczność nowego systemu gospodarczego — to rzeczy aż nadto jasne. Nic dziwnego, że gdy przy jakiejś maszynie spotkają się powiedzmy, wycieczka szkoły żeńskiej z męską, więcej zainteresowania budzi problem umówienia spotkania właśnie przy tej frezarce obok której się stoi, niż sama frezarka. Ale jakże inne jest spojrzenie fachowca. Widzieliśmy takich, którzy przez trzy dni pobytu na Targach nie entuzjazmowali się niczym więcej od hali maszyn. Nawet na kiermasz nie zdążyli zajrzeć, a to już świadectwo niebywałego zainteresowania i przejęcia zagadnieniami przemysłowymi.

Przy maszynach nie stanęli jacyś zawodowi objaśniacze, jak to się kiedyś praktykowało. Nie maszyn swoich pilnują majster i ślusarz przy nich normalnie pracujący, monter i robotnik-racjonalizator. Nie zawsze wyjaśnią oni problem skomplikowaną terminologią naukową. Powiedzą za to wiele rzeczy praktycznych, powiedzą, gdyż to co mówią, dotyczy ich najbardziej osobistych doświadczeń. To dodaje smaku i sensu wystawie. Trzeba słyszeć ten akcent satysfakcji już nie osobistej, ale zespołowej jaki przebijają ze słów starego majstra przy wiertarce, gdy na pytanie, czy są wszystko maszyny krajowej produkcji, odpowiada: — Nasze wszystko, nasze...

Majster i ślusarz przy maszynie nie ziewają ze znużenia, nie zaczynają monotonnym głosem deklamować wyuczoną lekcję, ale z przejęciem, z ogniem, z zapałem, albo oburzeniem gromadzą się koło ciebie, tłumaczą, objaśniają, przekonują. Każdy z nich czuje się dogłębnie związany z maszyną, jest niejako jej częścią, tą najważniejszą, myślącą, odpowiedzialną za nią i za siebie.

Warto wejść na piętro hali i z tej wysokości rzucić okiem w dół, prześledzić od końca do końca olbrzymiej przestrzeni jeszcze raz te rzędy niesymetryczne młynów do miatu węglowego, rewolwerówek, karozelówek, wiertarek promieniowych (czegoś się jednak człowiek i z tej branży nauczył!), małych, dużych, rozłożystych i znów smukłych, pnących się gdzieś aż pod strop, błyszczących glazurą lub matowych w kolorze ciemnej stali. Wtedy dopiero trzeba spojrzeć na plansze, barwne w kolorach i przejrzyste. Plan sześciolletni — ogrom stojących przed nami dokonań — staje się wtedy realny. Ta mnogość maszyn, sploty kół, transmisji, zębów, kranów, przekładni stają się wtedy realnym sprawdzianem możliwości i siły, potrzebnych do realizacji gigantycznego zamierzenia. Setki fabryk, które powstaną, przestają być tylko plamami sytuacyjnymi na kolorowej mapie. Stają się konkretnym faktem, sprawdzalnym za miesiąc, rok czy dwa.

Postumencie bryła węgla, obok bryła soli. Między nimi strzela smuga iskier elektrycznych. Wymowny i realny symbol. Wiele ich mieści ta wystawa.

Dział maszyn włókienniczych Krosna, różnego typu, w pracy. Uwija się przy nich tkaczka, pracownica którejś z fabryk tekstylnych. Lekcja pokazowa. Nie drzemie błyszcząca maszyna, ale szumi zespolona z człowiekiem. A więc człowiek. Człowiek, który ciągle wyraża się o sobie, o swoim wysiłku, który jest gwarantem że hasła sloganów przetworzą się w rzeczywistość.

Młoty pneumatyczne, maszyny do cięcia blachy, zaraz dalej transformator 70-tonowy, wielopolowa tablica rozdzielcza, automatyczna stycznikownia, wreszcie aparaty elektromedycynej: diatermia krótkofalowa, lampy kwarcowe, aparaty rentgenowskie diagnostyczne, najbardziej nowoczesne w Europie — znow dreszcz satysfakcji przez serce — wyprodukowane całkowicie w Polsce!

Wychodząc, warto spojrzeć na witraż, umieszczony nad drzwiami. Ślusarz, górnik, hutnik, spawacz — w środku motywu krajobrazu górniczo-hutniczego. Obok słowa o Planie idących Sześciu Lat.

STAR-50 I TRAKTORY

Pod murem zamykającym wystawę, na łagodnej pochyłości stoją samochody ciężarowe Star-50 polskiej produkcji. Przed nimi przysadziste traktory. Dalej szumi ulica, pachnie benzyną i świeżo spryskanym, wysychającym — właśnie asfaltem. Dalej kamienice. W otwartych oknach głowy dziecięce, pies na balkonie. Ściana pokryta dzikim winem drży od powiewu.

Spomiędzy aut wysuwa się siwy robotnik w granatowym kombinezonie. Na piersi kołysz się mu srebrny krzyż zasługi.

— Podobają się panu nasze wozy? Ludzie tego nie doceniają, bierze ich to, co świeci... Gapią się na te amerykańskie i francuskie limuzyny, nie rozumieją, że nasza robocza maszyna, ciężarówka i traktor sto razy ważniejsze, bo to transport i chleb.

— Skąd ten krzyż zasługi? mam już pięćdziesiąt cztery lata, ta przepracowane przy warsztacie. Byłem u Lilpopy, u pruszkowskich Mechaników, stawiłem Ursus. Po wojnie jeden z pierwszych znowu ruszyłem do roboty. Jak sobie pomyślę o pustych halach, z którymi zaczęliśmy i popatrzę na te wozy, to musi się człowiek usmiechnąć. Po powstaniu ruszyliśmy z tokarką i kluczem. Trochę maszyn odnalazło się w Niemczech, numery mieliśmy pospisywane, potem ludzie się skrzyknęli i poszła robota, ale czy to goście doceniają? Ciężarówka! Każdy je zna, codzień widzi, każdy woli przejrzeć się w wachlarzu „amerykana"... Aż człowieka to złości.

Teraz mnie tu przysłali, że bym odpoczął. Chodzę sobie, motory zapuszczam, gębę w słońcu wygrzewam... Ale prawdę mówiąc, to się więcej zgniewam jak wypocznę. Dla mnie nie ma życia bez roboty, już tęsknię za warsztatem...

Zapaliliśmy papierosa. — Radzikowski Franciszek jestem, mechanik z Ursusa. A niech pan tam o naszych wozach gorzej nie napisze jak o amerykańskich, bo byłoby towarzyszom przykro.

— Drogi panie Franciszku, żywa kronika uprzemysłowienia kraju, może pan być spokojny... Przechodząc przed frontem wyrównanych maszyn każdy musi pomyśleć o służbie, jaką dla narodu wykonują. Mocne, posłuszne rękami kierowcy będą huczeć na szosach, kurzyć w jesiennej orce, przyspieszać dobrobyt. Na cóż mam się roztkliwiać nad luksusową limuzyną, ani ona mnie, ani nam obu głowy nie zawróci. Pisarz nie jest sroka, żeby leciał na to, co się świeci...

Patrząc na zwarty rząd ciężarówek nie czuję się pokrzywdzonym ani uboższym. Łączy nas, mistrzu Radzikowski, dumna i upór. No, jest z czym brać się do planu sześciolletniego!

ROWERY

— Jak przejdę w tym roku, ojciec obiecał mi rower, popatrz bracie, wiele ich tu jest!

Dwaj uczniowie, może dziesięcioletni, dotykają opon rowerowych, dotykają jeszcze śliwkowym nalotem świeżości. Przebierają końcami palców po sprychach, lekko jakby to były struny. Ruchliwy blask igra im na twarzach. Rowery nachylone w stoiskach, gotowe do skoku z podium w stronę otwartych drzwi, skąd przeciąga wiosennym wiatrem.

— Oni zawsze tylko obiecują, a jak przyniesiesz świadectwo, zobaczysz, znajdą sto powodów, żeby się wykreślić.

— E, mój ojciec nie taki, równy chłop, dotrzyma słowa...

— Myślisz? To już na te wakacje poprubysz na Śląsk na takiej maszynce... Tam szosy jak stół.

Przyglądali się łapczywie rowerom, ćwierkało poruszone wolne koło.

— Na takich nasi teraz do Pragi ciągną. Leciutka maszyna, nadepniesz pedały i odsadzisz się skokiem...

Poprzez srebrną kratę ułożoną z przekładni jaśnieją otwarte drzwi pełne blasku, wiosenne niebo i obłoki. — Jakże im zazdroścę tych wakacji, przeżyć i wzruszeń, które są dawno poza mną... — mruczy Paukšta — jaki wspomniały jest świat, oglądany z wysokości siodełka rowerowego dziesięcioletnimi oczami zmrużonymi od pędu.

GOSPODARKA ROLNA

Wzniesiony na wybrzuszeniu terenu jeszcze w ubiegłym roku Pawilon Szklany poświęcony jest na obecnych Targach zagadnieniu spółdzielczości rolniczej. Przed wejściem posąg robotnika i chłopca — symbol bra-

Od połowy lutego zaczyna wzrastać z dnia na dzień specyficzna, gorączkowa atmosfera przedtargowa. Poznań ogląda Targi z bliska. Nie tylko wtedy, gdy są one związane już na ostatni guzik, gdy obsychna farba na wzniesionych w mgnieniu oka stoiskach, a flagi płoną w łopocie.

Początkowo dochodziły dyskretnie echa przygotowań Komisji Programowej, potem narady przedstawicieli przemysłu nad doborem eksponatów, dobiegało echo sporów z zacisznych pracowni architektów. Gdy zaś już ruszyli się artyści-plastycy, komponując oprawę dekoracyjną, wiadomo było, że Targi zaczną przesłaniać inne zagadnienia, a tereny wystawowe staną się sercem miasta.

A potem?... Potem była tablica współzawodnictwa pracy zespołów budowlanych. Co dnia wyżej podnosiły się słupki ilustrujące stan robót wykonywanych przez brygady fachowców. Raz przodowali murarze, potem cieśle, potem znow monterzy i elektrotechnicy. W przeddzień Targów wszystkie słupy osiągnęły najwyższy wskaźnik. Pawilony były gotowe, czekały na chwilę otwarcia.

Czekało całe miasto. Osobliwa atmosfera, podobna przedświątecznej, ogarnęła Poznań. Na ulicach dawało się wyczuwać wyraźne podniecenie.

I wreszcie. Międzynarodowe XXIII Targi Poznańskie zostały otwarte.

Przed bramą wejściową mrowie, aż się przecisnąć trudno.

Na razie to tylko miejscowi i garść zaproszonych gości, ale już śpiewając nadciągają wycieczki, podjeżdżają autobusy i ciężarówki, ruchliwa, roześmiana falą napływają tłumy zwiedzających.

Rozniosą oni po całej Polsce wieść o Targach, rozbudzą apetyty, podniecą wyobraźnię, poruszą całe rzesze które będą przez te dwa tygodnie koczowały na terenach wystawowych.

HALA MASZYN

Zaraz po zanurzeniu się w mroczne u wejścia wnętrza imponującej rozmiarami hali Ciężkiego Przemysłu, widz przystaje zaintrygowany osobliwym montażem: z basenu wodnego biją w górę trzy fontanny, osypując bryzgami potężne trzy koła zębate. Czegoż to symbol? — Trzech zasadniczych źródeł siły gospodarczej — energetyki, ciężkiego przemysłu i górnictwa? Czy też Trzyletniego Planu gospodarczego, który przeminął pod znakiem sukcesu i pozwolił nam szybciej wkroczyć w Plan Sześciolletni? Czy oba symbole razem? I jedno i drugie wytłumaczenie ma swój sens.

Z miłego chłodu przedsionka hali wpada się w przegrzaną atmosferę setek maszyn, najróżnorodniejszych w typie i przeznaczeniu. Trzeba nieco czasu, by móc się jako tako w tym bogactwie maszyn — zorientować. Całość imponuje, ale i przytłacza. Przecież u licha! — to wszystko skomasowny trud mógów i rąk naszych, trud ostatnich paru lat. Dodajmy z góry wiadomość, którą laikowi przekaze dopiero fachowiec — trud nie tylko wykonania, ale często i trud pomysłu, konstrukcji, projektu. Trzy czwarte tych frezarek, tokarek, młynów węglowych, pomp, parkieciarek, wiertarek i innych wyszukanych stalowych kolosów wykonana jest w oparciu o oryginalne, rewelacyjne nieraz i rewolucyjne dla owych dziedzin techniki pomysły i ulepszenia polskich inżynierów, techników, majstrów i robotników.

Hala ciężkiego przemysłu przy swej przejrzystości rozplanowania i dobrym rozmieszczeniu plansz objaśniających, jest trudna do ogarnięcia dla zwykłego gościa wystawowego. Pojmuje on dynamikę przemysłową nowej Polski, oszołomiony jest tempem rozwojowym, problemem natury ściśle technicznej, nie może dostrzec. Zwiedzanie hali wkrótce go nuży. Maszyny, maszyny, maszyny.

po Targach

terstwa. Wnętrze przy pomocy wykresów, doskonale artystycznie skomponowanych plansz i montażu fotograficznych ilustruje zagadnienie spółdzielczości produkcyjnej w Planie Sześcioletnim.

Nie przy planszach i wykresach kupią się jednak zwiedzający, oczywiście, poza szczytym gromem fachowców. Uwagę wszystkich przyciąga doskoła, wielkich rozmiarów mapa plastyczna wzorowej wsi spółdzielczej. Pola uprawne, łąki, na horyzoncie las. W środku cykl domków z małymi ogródkami. Wspólny sad na skłonie pagórka, Dom Kultury, boisko sportowe, budynki gospodarce.

Z rolnictwem nie da się zakończyć bez wspomnienia o pokazie hodowlanym Państwowych Gospodarstw Rolnych. Konie, bydło domowe, nierogacizna, drób, króliki, nawet gołębie. Gwałt, zgiełk, rżenie, chrzkanie, kwiczenie, gdakanie. Zwierzaki wcale źle się na tych Targach nie czują, natarczywie zaglądają w ręce zwiedzającym, dopominając się smakołyków.

SZWALNIA

Zwieszający się z sufitu trenęczych tkanin, rozkwitłe kolarami stoiska, wywołują zachwyt u kobiet, a niepokój w piersi mężczyźni, zwłaszcza tam gdzie spoczywa portfel ze świeżo otrzymaną pensją.

Dokoła tiule, jedwabie, batysty, dalej wełny damskie, kupony ubraniowe, płaszczowe... Różowieje bielizna, wabi dział odzieżowy, pełen manekinów dziecięcych. Poprzez światło neonów powiewa pajęczynka pończochy. Tkaniny dekoracyjne—



Polskie buty.

len, konopie, sztuczne włókno.

Ale gdzie mogę dostać kretony—woła zirytowanym głosem tęga jejmość,—przecież tego na Targach nie sprzedają!

— Faktycznie — odpowiada ekspedient — na Targi nie rzuciliśmy asortymentu kretonów, za to w naszych punktach na mieście znajdzie ich pani pod dostatkiem i podsuwa jej plan Poznania z zaznaczonymi sklepami MHD, gdzie detalicznie rozprowadza się towary wystawowe.

— Niech mi pan głowy nie

zawraca, już tam byłam... Tak że nie ma, wyprzedane.

Informator bezradnie rozłożył ręce. Trudno zgrzanej, poirytowanej paniusi argumentować cytatem z przemówienia min. Minca: — „Jeśli ma wzrosnąć w kraju konsumpcja, musimy zwiększyć eksport”. Pozorny paradoks. Ale maszyny, bawełna, barwniki i konkurencja z przemysłem krajów kapitalistycznych splatają się ciasno. Żeby dostarczyć dużo tanich tkanin na rynek wewnętrzny, musimy sprowadzić nowoczesne maszyny tkackie, uruchomić przemysł chemiczny i to właśnie stać się może w pewnej mierze i za cenę tych kretoników, których pani tak gorąco pożąda. Zamiast złota, płacimy pracą, płacimy twórczością... Niechże pani będzie cierpliwa! Owo ewangeliczne — maluczko... Niech pani tymczasem wypije czarnekę świetnego kompotu, obejrzy pokaz filmowy, odsapnie w cieniu... Nie ma o co się awanturować, kretoniki będą!

Na piętrze dziewczęta pochylają głowy nad turkoczącymi maszynami do szycia. Zespół bieliźniarski, szwalnia. Systemem taśmowym ze stołu na stół spadają przycięte według patronów kawałki popeliny, zrastają się, by na ostatnim polozyc się męską koszulą.

— Jesteśmy wyróżnionym zespołem z Łodzi. Ma pan słuszną ność. Bez nas pawilon byłby martwy, brakłoby drogi od tkalniny do człowieka... Biorąc gotową koszulę kto tam pamięta o naszych rękach i oczach...

— Targi byłyby i dla nas przyjemną rozrywką — mówi młoda robotnica — gdyby wszyscy zwiedzający rozmawiali z nami tak jak wy... Niech pan szczerze napisze, że nie możemy się opędzić od młodych amantów, którzy tu kolendują

wytwórczością, opowiadają o pracy. Zaglądają nam niecierpliwie w oczy, by upewnić się czyśmy należycie ocenili, czy pojmujemy wagę ich warsztatu. Każdemu z nich zdaje się, że Polska bez nich nie dałaby sobie rady, że całe społeczeństwo z uwagą śledzi wskaźnik ich produkcji, z ich fabryką łączy najwyższe zainteresowanie.

I tak być powinno.

Targi Poznańskie są nie tylko przeglądem naszego dorobku, ukazaniem możliwości produkcyjnych i eksportowych, ale są dla nas zarazem wspaniałym dowodem przemiany, jaka się dokonała w człowieku, świadomym pracowniku i gospodarzu nowej Polski.

PIERNIKI

Pierścieniem rozłożyły się na piętrze pawilonu stoiska przemysłu spożywczego. Od bekonów, patriotycznych szynek marki „Krakus” znanych w Anglii i Ameryce, przez zboża, nasiona, ryby, piramidy jajek po dziczyznę, stertę mrożonych zajęcy patrzących zamglonym okiem spod nastroszonych rzęs.

Warto zwrócić uwagę na nowe towary eksportowe, preparaty z jąder bydłych i żołądków, bardzo poszukiwane za granicą. Nie wolno zapomnieć o stale rozrastającym się dziale zielarskim, dostarczającym leków lepszych od chemicznych, tanich, krajowych, dostępnych dla każdego.

Przebudowa gospodarki rolnej łączy się ściśle ze zwiększeniem produkcji zbóż a więc i towarów mącznych.

Oglądając wykresy dochodząmy do ściany popstrzonej mnóstwem gwoździków. Na niektórych wiszą kawałki brunatnej masy.

— Cóż tutaj było, — zapytuje informatorki — to dziwnie skromna dekoracja?

— Ach, proszę panów, człowiek nie może wszystkiego upilnować. Co onia uzupełniamy i znowu nam goście oskubią. Tr wisiały sianne pierniki toruńskie. Każdy próbuje palcem, czy to nie atrapy, a jak popróbuje, to go od ściany nie można oderwać... I niech panowie nie myślą, że to tylko dzieci... Wczoraj przyłapałyśmy starszka. Wbił piernik, mało się gwoździem nie udławił...

Wobec takiej agitacji musimy także skosztować ukradkiem piernika... I znowu przybyło kilka pustych gwoździ na ścianie.

WZORY DLA PRZEMYSŁU

Obraz gospodarki polskiej, jej osiągnięcia, różnorodność, nie byłyby pełne, gdyby zbrakło na Targach rzemiosła. Nie chodzi tu o procentowy stosunek produkcji rzemieślniczej do całości naszego potencjału gospodarczego — ten byłby bardzo niski. Wartość rzemiosła nie tkwi wyłącznie w jego usłownym charakterze. Oto rzemiosło wprowadza ożywienie, indywidualizuje pewien szablon, jaki mimo wszystko, szczególnie w dziedzinie drobnej wytwórczości, pociąga za sobą se-



Widok ogólny — pawilon centralny.

ryjna produkcja fabryczna. Ten element twórczości jest bardzo ważny i w przyszłości on zadecyduje o konieczności zachowania rzemiosła w ogólnopolskim modelu gospodarczym.

W naszej rzeczywistości gospodarczej rzemiosło spełnia funkcję bardzo ważną — uzupełnia luki na rynku zaopatrzeniowym w tych dziedzinach, których z tych czy innych względów nie objął przemysł państwowy.

Przed artystycznymi samodzielnymi Ireny Trzebińskiej przystają kobiety. Jest co podziwiać, jest z czego czerpać wzorce dla produkcji fabrycznej. Subtelny ale śmiały dobór kolorów, wysokogatunkowa wełna, każdy kupon — to model. Panie szczypią materiał, panowie omijają ten odcinek hali ostrożnie, z entuzjazmem wskazując prowadzonym pod ramię małżonkom „wspaniałe, doskonale” wyroby elektrotechniczne. Byle tylko dalej od pokusy... Samodziały te bowiem można nabyć na Wystawie.

Spokojniej już ogląda się modele obuwia, zamknięte w szklanych gablotach, wymyślne torby wizytowe i po różne, galanterię skórzaną, papierosową i drzewną.

Osobny dział ozdób metalowych A. Konderak wystawia artystyczne wyroby kute: świeczniki, postumenty, tace. Tuż obok konkuruje z nim kowal z Ostródy w precyzyjnie kutych zamkach i zawiasach do bram. Nieco dalej gablota z przepięknymi broszami, ryngrafami i branzoletami w srebrze wykonanymi przez Henryka Grunwalda.

Niewiele stosunkowo miejsca zajmuje rzemiosło na Targach ale to co wystawia, przedstawia się szczególnie ciekawie pod względem artystycznym.

Zlekka podhumorzony wypitym włoskim winem jegomościę siłą przyciąga żonę do gabloty, za którą widnieją modele obu-

wia wykonanego z łapek gęsich i indyckich. Pokazuje z pogardą pantofel żony z węzowej skóry.

— Spójrz! Te gęsie nawet lepiej wyglądają, bardziej podobne do krokodyla...

— Nie błażnij, przecież jest różnica — zafrapowała się kobieta.

— No, myślę — bo gęś można zjeść, a wąż — paskudztwo!

ŻYWE DRZEWA

Inowacja tegorocznych Targów. Nowy, dopiero co zbudowany pawilon Kultury i Sztuki. Wyrasza z czasów ofensywy kulturalnej. Zaplanowany dwuskrzydłowo, zamyka wewnątrz bardzo pomysłowo skomponowany model unowocześnionego atryum. Dowodem humanizmu inżyniera było wkomponowanie w konstrukcję architektoniczną starych drzew, których pnie przebijają strop i rosną nienaruszone ocieniając dach pawilonu. Najprostszą rzeczą było je zrabować, jak zresztą domagali się barbarzyńscy puryści. Fakt zachowania drzew go dzień jest specjalnego podkreślenia.

Wnętrze? — Niewątpliwie, mogłoby być lepsze i ciekawsze. Zbyt wiele plansz i wykresów, zbyt mało ilustrujących je eksponatów. Brak ten wynagradza za to dobra przejrzystość. Podsumowanie wielu naszych osiągnięć w dziedzinie kultury, nakreślenie linii rozwojowej dalszych etapów ofensywy — interesujące i dające wiele do myślenia.

Jedno — o ile pokazano kilka dobrych bronzów, dziwi prawie zupełny brak malarstwa. Czy nie byłoby jednak dobrze wystawić na czas trwania Targów choćby kilku prac nagrodzonych ostatnio na Wystawie Plastycznej w Warszawie. Książek pokazano w pawilonie niewiele. A i to liczba ich była kilkakrotnie uzupełniana, gdyż nie brakło amatorów, którzy wędrowkę książki do czytelnika rozumieć dosłownie.

(Dok. na następnej stronie)

W sumie jednak pawilon ten, niesłychanie potrzebny, szczególnie na dzisiejszym etapie troski o sprawy kultury, spełnia w myśl założen swą rolę.

Uzupełnieniem niejako pawilonu kultury i sztuki są dziesiątki kiosków książkowych, ogólnych i podzielonych na działy. Sprzedano w nich już w pierwszych trzech dniach zapas książek przeznaczony na cały czas trwania Targów. Wielkim popytem cieszyły się książki ra-dzieckie, zwłaszcza techniczne i słowniki.

Z kulturą mas łączy się propagowanie artystycznych wyrobów ludowych. Powinny one wyprzedzić pseudoartystyczną tandetę, wyrobić smak i poczucie piękna.

PAWILON CCCP

Naprzeciw głównego wejścia centralny pawilon zajmuje Związek Radziecki. W otwarte bramy wlewają się rzesze wie-dzących. W potężnej wieży mamy bogaty przegląd odbudowanego przemysłu rosyjskiego. Od motorów, obrabiarek, maszyn precyzyjnych, aparatów radiowych i telewizyjnych poprzez tkaniny, sławne futra syberyjskie i szlachetne kamienie po wyroby chałupnicze, palechowskie szkatułki z laki, hafty i ceramikę ludową.

Liczne wykresy, obfita literatura obrazują etapy rozwoju przemysłowego, a fotografie przodowników pracy mówią o dumie z człowieka, którego bohaterem wysiłkiem odbudowano przemysł zniszczony w czasie najazdu hitlerowskiego.

Z wystawionych plansz można wytyczyć drogę dopełniającej się rewolucji: eksploatacja dóbr naturalnych, rewelacyjne zdobycze nauki, twórczość artystyczna — wszystko w służbie prostemu człowiekowi.

Ekspонатów nie może pomieścić ogromna wieża, wypełniają więc pobliski plac potężne maszyny produkcji radzieckiej, krany, wieże wiertnicze, auta i traktory, imponujące rozmachem i lekkością konstrukcje stalowe. Plugi, do odgruzowania, łamacze ścian, kopaczki mechaniczne, stalowe słonie, które będą oczyszczały wypalone dzelnie, aby znowu w niebo wystrzeliły piętra, zaślśniło słońce w oszklonych oknach.

Widzieliśmy jak robotnicy krążyli koło tych kolosów z podziwem, klepali po blachach rozgrzanych w słoneczne południe:

— Tego, psiakrew, nam potrzeba, żeby nie drzeć gruzów kilofami. Te maszynki trzeba sprowadzić, żeby poleciała robota...

Rozmawiają z Rosjanami, wpytują mechaników o siłę motoru, wdrapują się na pomo-sty, kładą dłoń na przekładniach i pokrętkach.

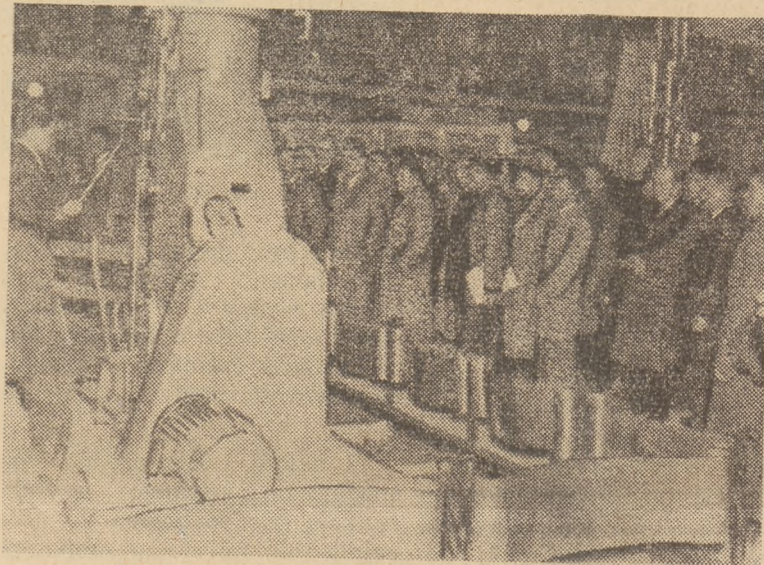
Choć jasnym jest, że nikt z nich nie będzie nabywcą, czują się gospodarzami, którzy o zakupie tych maszyn będą decydować. Dlatego też oceniają je uważnym i chciwym gospodarskim okiem.

Na tle pawilonu radzieckiego dziewczyna wykuta z kamienia wypuszcza z dłoni gołębia. Obok dwóch robotników — symbolicy posąg — pracę, naukę, twórczością kraj nasz u-macnia swoją przyszłość, kładzie fundamenty pokoju.

NOWE NIEMCY

Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi — mawiało dawne przysłowie. Nie wiele w nim było czułości, raczej przemawiało ono jako wyraz przestrogi, że i przed sąsiadem trzeba się kryć z tym i owym. Sytuacja uległa zmianie. Nie tylko, że jesteśmy w przyjaznych stosunkach ze Związkiem Radzieckim, ale i ze strony zachodniej naszej granicy odrzańskie powiały nowe wiatry. Młoda Niemiecka Republika Demokratyczna reprezentuje na Targach swój dorobek gospodarczy. Nad wejściem do części hali, gdzie umieszczone są niemieckie ekspozycje, biegnie wymowny napis, stwierdzający że Odra i Nysa są granicą pokoju. Publiczność ze specjalnym zaciekawieniem ogląda przedstawione towary. Auta, wystawione już nazewnątrz pawilonu, nie budzą entuzjazmu:

— Jak spojrzysz, bracie, na maszyny sowieckie, czy amerykańskie, to te jakoś prezentują się mizernie...



Fragment pawilonu ciężkiego przemysłu.

— Ale gdyby ci podarowali, to byś skakał z radości...

— Pewnie, bracie, i taki Kin-derwagen by się przydał, co chodzi na naparstku benzyny...

Jest za to coś innego, co gra-madzi przy niemieckim stoisku szczupłe, ale za to doborowe grono fachowców. To piękne fortepiany Blüthnera z Lipska, a obok zgrabne maleńkie pianina krzyżowe. Dźwięk ich ponoć ma być pełnowartościowy (podają to na odpowiedzialność Żukrowskiego, bo sam się na muzyce i dźwiękach nic a nic nie wyznaje...). Poza tym demonstrowują Niemcy urządzenia mechaniczne, wyroby optyczne i aparaty pomiarowe.

Na kiermaszu do stoiska nie-mieckiego dzieci ciągną rodziców, prosząc, domagając się nakręcanych zabawek, samochodów, riks, strażaków i małą...

Warto przystanąć na chwilę i zaobserwować reakcję zwiedzających. Początkowo widok stoiska niemieckiego budzi zdziwienie. Potem przeradza się ono w czujną, nieco sceptyczną, ale przecie wyraźną sympatię. To już wiele, to już poważny dorobek propagandowy młodej republiki — wzbudzenie wiary u wschodnich sąsiadów w możliwość przyjaznego i pokojowego współżycia dwu dotąd skłóconych ze sobą narodów. I tutaj należy widzieć główny efekt pawilonu Niemiec Demokratycznych. Osiągnięcia handlowe w tej płaszczyźnie stają

się zagadnieniem drugorzędnym.

PAWILONY ZAGRANICZNE

Z krajów Demokracji Ludowej najbardziej imponująco prezentuje się Czechosłowacja. Czesi nie tylko, że wykorzystali miejsce w pawilonie zagranicznym, ale jeszcze przywieźli ze sobą własny pawilon, własne kino, własnych architektów i dekoratorów... Przemysł ciężki (z precyzyjnym odlewem wagi 3.100 kg okaz sztuki odlewniczej), przemysł precyzyjny, tekstylny, skórzany.

— Wyszadzi się — jak to stwierdzał kręcąc z podziwem głową któryś z Poznaniaków. A tym trudno zaimponować. Niejedne już Targi widzieli...

Udział swój w Targach znacznie zwiększyli Węgrzy, demonstrowując przede wszystkim, jako centralne osiągnięcie swego Planu Trzyletniego, przemysł ciężki i włókienniczy. Największą zazdrość w zwiedzających wzbudzają autobusy, ma-

Bulgaria prezentuje przede wszystkim przemysł rolniczy spożywczy oraz drobno-użytkowy.

W zakresie zasadniczo tym samym wystawia przy maleńkim ale wyjątkowo ładnie urządzonym stoisku Albania. I jeden i drugi kraj pachną jakąś szczególną egzotyką. To jest tak sugestywne, że oprócz produktów czy przetworów o rzeczywiście specyficznym, południowym charakterze, intrygują zwiedzających nawet plody rolnicze, niczym nie różniące się od naszych.

Państwa Demokracji Ludowej skupiły się we wspólnym pawilonie. To ma swój sens zamierzony. Osiągnięcia i sukcesy wszystkich dojrzały w pokrewnych warunkach.

Przy stoisku węgierskim grupka gości zagranicznych. Słyszysz się czeski i rumuński. Jeden z zebranych, szczupły, o smagłej twarzy, wygląda wyraźnie na Albańczyka. Na stole stoi flaszka wina, leżą papierosy. Grupa zwiedzających zerka dyskretnie na miłych gości. Ktoś robi szeptem uwagę:

— Węgierskie wino, bułgarskie papierosy, albański ser i rumuńskie orzechy z okrasą humoru... polskiego.

Wesołość, śmiech. Przyjazny, serdeczny. To jednak coś zdecydowanie nowego w stosunku do zagranicy.

Z państw zachodnich na Targach reprezentowane są firmy prywatne włoskie, holenderskie, duńskie, szwedzkie, belgijskie i francuskie. Poza elektrotechniką „Philipsa“, duńskimi kompresorami i motorami oraz samochodami, pozostałe towary stoisk państw zachodnich zaliczyć należy do kategorii lukusów. A więc drogie francuskie perfumy i szminki, doskonałe, ale mało dla czyich kieszeni przystępne wina włoskie, luksusowe zegarki szwajcarskie i rewelacja — budziki na rękę! Znamienne, że kioski sprzedaży tych artykułów nie są wcale obleżone. Nawet kobiety się do tych kiosków nie garną.

KIERMASZ

Największym powodzeniem cieszą się pawilony kiermaszowe, gdzie można nabyć „pamiątki”: butelkę wina rumuńskiego, czeską nylonową torebkę, niemiecki komplet bielizny, rosyjski kawior i konserwy z jesiota. Trzeba przyznać, że w tym roku większą troską otoczone zwiedzających, pomnożono liczbę punktów zaopatrzeniowych. Można koczować cały dzień na wystawie. Podobno w pawilonie węgierskim sprzedają jedwab na sukienki, ale nie mogliśmy się docisnąć, bo szła zakupów ogarnia kobiety. Tłum pokrzepiony wędzonym dorozem, popiwszy naparu ziołowego w stoisku Centrali Zielarskiej — ochoczo rusza do szturmu. Mówiono mi, że podobny jedwab, ale już polski, można dostać i w Łodzi, i to nawet w ładniejszy rzucik. Młoda kobieta, która tę wiadomość podała szeptem, wyprowadziła wielką grupę oczekujących w ogonku w kierunku pobliskiego dworca kolejowego. Myślimy jednak, że był to tylko podstęp Węgrów, którzy chcieli odciążyć nie szczęsne ekspedientki, uwikła-

ne w skrętach jedwabiu, w szleszczącą grupę Laokona.

Przyjemnie jest posiedzieć w kawiarni pod drzewami, pa-trzyć na tęczowe krople sypiące się z fontanny. Zwłaszcza poczucie rozkosznego wypoczynku wzrasta, gdy rzucimy okiem na kłębowisko rozplamionych kobiet oblegających stoiska, unoszących triumfalnie ponad głowami tłum paczki niemieckiego proszku do prania skarpetek.

Jednak psychoza, że co zagraniczne to lepsze, nadal u nas trwa. Nie ogranicza się tylko do towarów, obcokrajowcy chodzą również otoczeni wieńcem natrętnych wielbicieli. Tłum sunie między pawilonami. Grupy chłopców w kolorowych chustkami na szyjach, piękne kobiety z tak ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi, że właściwie mogłyby one cały ich strój zastąpić, a w gęstwinie młodych liści megafon nawołuje:

— Pani Irena proszona jest o przybycie pod wiertarkę pneumatyczną, oczekuje stęskniony Adaś!

— Uwaga! Zgubionego chłopczyka, na imię Wojtuś, lat 33, proszę odprowadzić za rączkę do przechowalni. Prosi żona.

W słońcu powiewają chorągwie. Dzwoni muzyka. Twarze spoconych grubasów z pianą na wargach. Nawoływania i śmiechy, a nad głowami namięty tenorek zapytuje:

— „Pamiętasz tę noc w Zakopanem?”

— Pamiętam, pamiętam, oczywiście, że pamiętam, choć wolałbym zapomnieć!...

Na cembrowinie basenu chłopcy w zażartym targu wymieniają kolekcje upolowanych prospektów. Obok strudzonego pielgrzym z prowincji z ulgą polewa sobie obnażoną stopę wodą mineralną z butelki.

OBRACHUNEK

Targi mają nie tylko znaczenie dla handlu międzynarodowego, ale również są i próbą do rocznego bilansu naszego dorobku, stanowią wystawę o znaczeniu, nie zawahalibyśmy się powiedzieć — agitacyjnym.

Bo słyszeliśmy robotnika mówiącego:

— Człowiek wetknie nos w swój warsztat, wprawdzie czyta się o tym, że i gdzie indziej na całego odchodzi robota, ale dopiero tutaj można ogarnąć, ile się już jej odważyło. Warto się jeszcze trochę z portek wyciągnąć, żeby tylko światu pokazać, co potrafimy! Aż człowiek nowych sił i ochoty nabiera.

Jesteśmy po trzylatce. W zrujnowanym przez najazd faszystowski kraju odbudowaliśmy linie komunikacyjne, dźwignęli mosty, pchnęli tysiące pociągów. Dźwimy z uporem ziemię, czarną rzeką splywa węgiel. Dymią piece hutnicze, warczą tkalnie, szumią zboża na zorażonych miedzach. Na progu Planu Sześcioletniego wystawa Targów poznańskich mówi dobitnie:

— Oto co wypracowaliśmy, bierzcie, kupujcie, wymieniacie. Dajcie nam potrzebne surowce i maszyny, popatrzcie jak potrafimy pracować. Chcemy budować dobrobyt dla narodu, utrwać pokój.

Wojciech Żukrowski
Eugeniusz Pauksta
Poznań, maj 1950 r.

TYDZIEŃ KULTURALNY

TEATR

Sprawa Pawła Eszteraga

Państwowy Teatr Polski drugą z rzędu premierą pokazuje nam dorobek współczesnej dramaturgii węgierskiej. Po „Bogu, cesarzu i chłopie“ J. Hay'a oglądamy — tym razem na scenie kameralnej — sztukę Sandora Gergely p.t. „Sprawa Pawła Eszteraga“.

Powiedzmy sobie od razu: ta druga premiera, bardziej nas zadawała pod każdym względem.

Jedyne zastrzeżenia jakie można mieć do tego spektaklu, dotyczą samego utworu, scenicznego — od wykazania tych usterek zaczniemy to omówienie.

W zamiarach autora sztuki (ułatwia nam dociekania w tym względzie program spektaklu, cytujący opinię Gergely'ego) leżało wykazanie „jak niezłomna jest wiara komunisty“. Zamiar pozornie został osiągnięty: Paweł Eszterag znosi wszystkie perypetie brutalnego śledztwa, świadomość zbliżającej się śmierci, nieludzkie poniżenie za spokojem i prawdziwie bohaterką siłą wewnętrzną. Uznaje to w jednej ze scen nawet kat jego najzaciętszy, major sądu wojskowego. Jesteśmy pełni podziwu szacunku dla tej mocy ducha Pawła — brak nam tu jednak wydaje się zasadniczego elementu, niezbędnego do oceny więźnia. Jest niezłomność, jest wiara, brak odpowiedzi na pytanie: w co?

Paweł Eszterag ginie za komunizm. O tym dowiadujemy się z tekstu sztuki. Czy to zbyt ogólne stwierdzenie może wystarczyć widzowi? Chyba nie. Nie mamy żadnej gwarancji, żadnego dowodu, że Eszterag był powiedzmy w uproszczeniu: dobrym komunistą. Maltretowanego Pawła mianem komunisty nazywają w sztuce zawzięci wrogowie. Nie trzeba chyba udowadniać jak mało miarodaj-

na jest taka opinia: ileż to razy antypostępowe reżimy, dla dodania jakiejś aferze politycznego posmaczku, chrzcili mianem komunisty zwykle zbrodniarza. Potrzebna to było w walce nie ze zbrodnią, a w walce z zapuszczającą coraz głębiej korzenie ideologią.

Oczywiście w tym konkretnym wypadku ocena Eszteraga nie może tak dalece pobłądzić — drogi myślenia prostuje w pewnym sensie właśnie postawa skazańca. Tym niemniej, do zupełnej jasności obrazu, brak nam światła rzuczonego na motywy działalności ofiary faszystowskich siepaczy. Nie powiedziano nam o co walczył Eszterag. Jest to chyba błąd w stosunku do widowni zarówno węgierskiej, jak i polskiej dość istotny. To co na ten temat mówi Eszterag w jednej z końcowych scen do strażników dozoruujących go jest absolutnie niewystarczające.

Ze słów wyżej napisanych wnioskować mógłby ktoś, iż zarzucam sztuce brak łopatologii, brak wykładu na temat co to jest komunizm, o co walczy komunizm. Sprawa wygląda zupełnie inaczej. Od powiedz na pytanie o co walczył Eszterag można było i moim zdaniem należało dać nie w wielostopniu tyrad lecz w działaniu. I znowu wątpliwość; jakimż działaniem mógł się wykazać uwięziony Eszterag. Odpowiedź na tę wątpliwość dać nie trudno. W ostatniej scenie sztuki matka Pawła od pełnego godnie rozpaczy: „mój syn“ przechodzi do pogodnie ufnego „mój synowie“ Sprawa jest prosta: cele walki Eszteraga można i trzeba było pokazać w działaniu... innych, w działaniu tych, którzy skandowaniem nazwiska ofiary zagluszali śmiertelną salwę.

Gergely próbuje coś niecoś zro-

bić na tym odcinku. Jest mowa o wspólnej z Pawłem wierze, o tajnych gazetkach, o ulótkach, o rozklejaniu odezw — to wszystko jest zbyt ogólnikowe — tak samo działałoby każde nielegalne ugrupowanie polityczne. Są więc próby pokazania środków działania — ani słowa o jego treści.

Jak doszło do powstania błądu, o którym mowa? Wydaje mi się (jeżeli mam rację to dowód wystarczający, iż współczesna dramaturgia węgierska cierpi na te same braki co i nasza, polska), że autor nie potrafił zręcznie wybrnąć z pozornej rozbieżności pojęć: tendencja polityczna sztuki i jej sceniczność.

Gergely unikał i słusznie wszelkiej frazeologii, powiedzmy, wszelkiej publicystyki. Zgodnie z wytycznymi teorii dramatu postawił na akcję. Założenie słuszne, ale... struna została przeciągnięta. Dla jedności, zwięzłości akcji, cech bardzo ważnych i potrzebnych, zaniedbany został dość poważnie zamiar pierwotny, zamiar pisarza o określonej postawie politycznej.

Autor chciał niewątpliwie pokazać walkę dwu światów, walkę nierówną pod względem sił fizycznych,

ale walkę, w której słabszy fizycznie reprezentuje wartości ideowe niepomierne wyższe. W sztuce tego nie widać. Wiemy, że ciemniźciele bronią złej sprawy — nie wiemy o co walczą ciemniżeni. Stąd zamiast obrazu walki otrzymujemy obraz prześladowania.

Pozytywne środowisko walczące nie znalazło w sztuce, oczywiście na pewno wbrew intencjom pisarza, należytego obrazu.

Znacznie lepiej wypadły dwie inne grupy: i ta, którą reprezentuje sfaszycowana policja Horthy'ego i ta, której przedstawicielem jest szwagier Pawła — Józef Kovacs.

Błędy autora dostrzegł reżyser sztuki i starał się je, o ile mu tekst na to pozwalał, naprawić. Usiłowania te, chlubnie świadczące o zdolnościach Ludwika René, znakomitego twórcy najlepszej jak dotychczas polskiej realizacji scenicznej „Młodej gwardii“, widoczne są na każdym kroku. Mimo to jednak mój kolega po fachu, dziennikarz Antoni Bobroj, wygląda więcej na księżycowego kawalera niż na bojownika wielkiej sprawy. I dzieje się tak absolutnie bez winy reżysera i wykonawcy.

Jak każda lepsza sztuka „Sprawa Pawła Eszteraga“ zawiera w sobie wiele dobrych ról. Różnica między „X Pawilonem“ a sztuką Gergely'ego polega przede wszystkim na

tym, że podobne zdawałoby się role w „Sprawie Pawła Eszteraga“ nie należą do rzędu „samograjów“ Poście u Gergely'ego są wystarczająco pogłębione by warte były trudności poważniejszych wykonawców. I pod tym względem — trzeba to przyznać z najwyższą satysfakcją — Teatr Kameralny sprawił nam wielką niespodziankę. Oglądaliśmy spektakl, który pod względem opracowania aktorskiego uznać należy za jeden z najlepszych na bardzo szerokiej przestrzeni czasu.

Najwyższe pochwały za znakomite ucieleśnienie okrucieństwa, tępej nieludzkości i sadyzmu majora Sądu Wojskowego należą się Janowi Świderskiemu, który potwierdził w tej roli słuszność naszej wysokiej oceny przy omawianiu jego kreacji w „Na dnie“. Równie wielki kunszt aktorski pokazał nam Władysław Godik w ponurej roli człowieka bez kręgosłupa, Józefa Kovacs. Bardzo ludzka, wolna od wszelkiej przesady, zarówno w stronę patosu, jak i (co byłoby jeszcze gorsze) melodramatu postać pani Eszterag stworzyła Seweryna Broniszówna. To były gwiazdy najjaśniejsze na pogodnym firmamencie. Obok nich wystarczająco jasno, by znać to i podkreślić, świecą nazwiska pozostałych wykonawców.

Dekoracje Zenobiusza Strzeleckiego harmonizowały z koncepcją autora i reżysera.

Mar.

KRONIKA

TYDZIEŃ OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

Tydzień Oświaty, Książki i Prasy miał w tym roku zakrój zupełnie gigantyczny. Odbyło się kilka tysięcy spotkań z autorami oraz wiele imprez artystycznych, oświatowych itp. Koroną ich były kiermasze połączone z sprzedażą książek, oraz lotniczy desant „Expressu Wieczornego“ który samolotem przywiózł do jednej ze wsi potężną bibliotekę, sprzęt sportowy, oraz aktorów. W ten sposób za jednym zamachem organizując dla wsi bibliotekę dla świetlicy, magazyn sprzętu sportowego dla wybudowanego właśnie przez LZS boiska oraz wieczór artystyczny. Imprezy w Tygodniu pomyslane były rozsądnie. Wypada zgłosić dwa zastrzeżenia. Pierwsze: niestaranny, mechaniczny dobór książek w kioskach, wskutek czego asortyment był bardzo szczupły, co niewątpliwie wpłynęło na obniżenie pokupności. Drugie: dlaczego łączą imprezy kulturalne z narodowymi biegami, które wszędzie odciągają młodzież szkolną od zebrań mających na celu upowszechnienie książki. Za rok imprezy te winny być przedzielone kilkoma tygodniami czasu.

ZJAZD KORESPONDENTÓW ROBOTNICZYCH

Ruch korespondentów terenowych jest niewątpliwie jednym z najciekawszych przejawów awansu społecznego, wiążącego się z realizowaniem możliwości pełnej demokracji oddolnej. Metoda pracy dawnego dziennikarstwa — korespondent miejski, została rozszerzona na korespondentów tkwiących wewnątrz najmniejszych nawet komórek społecznych czy produkcyjnych. Jest to metoda, której celem jest nie tylko zebranie bardziej bogatego i ściślejszego materiału informacyjnego, lecz ponadto stanowi ona system społecznego działania przez prasę na kształtowanie się każdej komórki środowiskowej. Obecność korespondenta robotniczego, wyłonionego w fabryce drogą indywidualnych zdolności i

chęci z pośród załogi robotniczej, czy w PGRze lub POMie, spośród załogi chłopskiej — odgrywa niezwykle ważną rolę w kształtowaniu zespołowego ducha tejże załogi, która ma możliwość czytania o sobie w gazecie, częściej i więcej, a napewno wnikliwiej, niż sprawić by to mogła ekipa zawodowych dziennikarzy. Zostanie to oczywiście uwięzione sukcesem tylko w jednym wypadku: jeżeli korespondent robotniczy będzie miał naprawdę zupełną swobodę w podawaniu wiadomości bezpośrednio ze swego terenu do redakcji pisma, a nie poprzez organizację zawodową czy dyrekcję zakładu, jak to chciano uczynić w jednym ze środowisk kolejarzkich. Korespondent robotniczy ma dostęp tam, gdzie nigdy nie trafi oko przygodnego reportera, korespondencja taka wydrukowana w piśmie, nabiera autorytetu opinii publicznej, której nie będzie miała nawet najpoważniejsza wypowiedź na naradzie produkcyjnej. Sieć korespondentów robotniczo - chłopskich — to poważna siła oddziaływania na teren. Nic dziwnego, że prasa P.Z. P.R.-u (z śląską „Trybuną Robotniczą“ na czele) rozbudowała mocno aparat korespondentów wciągając do tej współpracy najszersze koła robotnicze; nie chodzi tutaj bowiem o styl pisarski, lecz o jakość informacyjną. Ostatnio, w pierwszych dniach maja, odbył się w Warszawie zjazd korespondentów prasowych robotniczych i chłopskich, z środowisk górników, hutników, metalowców, robotników rolnych, chłopów. 500 zebranych korespondentów reprezentowało 12.000 korespondentów terenowych. Do zebranych przemawiał Premier Cyrankiewicz — podkreślając m. in. konieczność otwartej krytyki wszelkich niedomogów dolnego aparatu tak produkcyjnego jak administracyjnego oraz zapewniając korespondentów o wszelkim zabezpieczeniu przez państwo należnym im praw swobodnego komunikowania swej opinii i swych informacji do redakcji pism.

Niedawno zresztą odbył się pierwszy tego rodzaju proces prasowy; oskarżonym był korespondent fabryczny Trybuny Robotniczej. Sąd uniewinnił go, gdyż oskarżony przedstawił dowody słuszności zajętą przez siebie stanowiska.

Dziś rola korespondentów terenowych jest jeszcze — w praktyce — dość nikłą. Ruch ten jednak rozrasta się szybko, stanowisko korespondenta prasowego, to zaszczytna forma awansu społecznego, niejednemu temperamentowi bardziej odpowiadająca niż funkcje czolowe w administracji czy produkcji. Liczyć się z tym należy, iż ruch ten zmieni znaczenie oblicze naszej prasy.

Jesteśmy u narodzin bardzo ciekawej, nowej formy społecznej.

ZGON ADAMA WIENIAWSKIEGO

W Bydgoszczy zmarł w wieku 74 lat Adam Wieniawski, wybitny kompozytor, pedagog i organizator życia muzycznego. Był długoletni prezes Związku Kompozytorów Polskich. Współorganizator konkursów Chopińskich. Od 1948 dyrektor Wyższej Szkoły Muzycznej Chopina w Warszawie. Autor oper „Mega“, „Wyzwolenie“, baletu „Człota u Herodota“, utworów symfonicznych, kameralnych, licznych pieśni.

ŚMIERĆ

WINCENTEGO RZYMOWSKIEGO

30 kwietnia zmarł nagle Wincenty Rzymowski, znany krytyk literacki publicysta polityczny i tłumacz Papiniego (tych książek, które pisarz włoski tworzył w okresie swego rozczarowania się z Kościołem). Rzymowski przed wojną znany był jako działacz lewicowy demokratycznej (Klub Demokratyczny). W pismach swych często zwalczał Kościół katolicki. Oznaczał się dużym talentem publicystycznym. Jako publicysta wszedł do Akademii Literatury, którą na własną prośbę opuścił, wtedy gdy wokół jego osoby rozpuścił się skandal literacki wywołany oskarżeniem „Prosto z mostu“ o rzekomy plagiat (dokończenie na str. 12-tej)

Studium przekładowe Penclubu

Trzeci wykład Studium Przekładowego zorganizowanego przez Penclub, wygłosił Prof. W. Borowy na temat: „Dawni teoretycy tłumaczeń“. Po krótkim zarysie historycznym teorii i wymagań, jakie stosowano do tłumaczeń, poczynawszy od ich starożytnych przedstawicieli, kiedy zasada bezwzględnej wierności była obowiązująca, przedstawił prelegent wielki rozkwit, jaki przyniosła tłumaczeniom w ogóle, a także teoretycznej umiejętności tej sztuki, wiek 18. Pojawia się w literaturze coraz więcej tłumaczeń. u schyłku tego okresu wychodzi w Anglii książka profesora uniwersytetu w Edynburgu, Aleksandra Tytlera: „Essay on the Principles of Translation“. Książka ta przyniosła pierwsze, najpełniejsze ujęcie teorii tłumaczenia. Jest do dziś cenną i aktualną. Prelegent na podstawie tej pracy oparł swój wykład.

Ogólne zasady przekładu powinny — według Tytlera — uwzględniać trzy postulaty: przekład powinien dawać możliwie najpełniejszą transkrypcję oryginału, powinien jak najwierniej oddawać jego charakter i ton, powinien zachować swobodę oryginału przy równoczesnym wiernym odtworzeniu tekstu.

Rozwijając te trzy postulaty, przedstawił prelegent szereg przykładów błędnego, lub poprawnego

ich stosowania w tłumaczeniach autorów obcych i polskich. Wielki 19 przyniosł nowe próby teorii tłumaczeń, bo wykształcił nową prozę, która pozwala na zastosowanie nowych środków. Przenoszenie obcego środowiska i „klimatu“ tłumaczonego utworu, modernizacja dawnych, klasycznych dzieł, aktualizacja i polonizacja. Archaizowanie, próby przekładu gwary i tworzenie neologizmów — wszystko to są zdobycze mniej lub bardziej udane ostatniego okresu.

Prelegent podniósł ogromną zasługę Boy'a - Zelenieckiego jako najlepszego tłumacza polskiego, także Zagórskiej, tłumaczki większej części dzieł Conrada. Mówiąc o walorach literackich ich tłumaczeń, wykazał, że i oni nie uniknęli pewnych błędów. Prelegent akceptuje zdanie Tytlera, że jednym z najważniejszych postulatów sztuki tłumaczenia, jest zachowanie prostoty słowa i myśli, — naturalności, która decyduje o wartości przekładu, a jest najtrudniejszą do osiągnięcia.

W dyskusji omawiano zagadnienie przekładu poezji prozą, tłumaczenia tytułów czasopism, oraz zasad tłumaczenia z pokrewnych polskiemu, języków. Podniesiono potrzebę opracowania książkowego ogłoszonych wykładów i zorganizowania stałej poradni dla tłumaczy.

KRONIKA

(dokończenie ze str. 11)

literacki. Rzymowski posiadał dowody stwierdzające fałszywe oskarżenia, z niewiadomych nam bliżej przyczyn wolał ich nie ujawniać na sądzie koleżeńskim, zamiast tego poprosił o zwolnienie z Akademii. Po wojnie już nie powrócił do pracy literackiej, stając się jednym z ministrów Polskiej Ludowej, najpierw jako minister kultury i sztuki, potem spraw zagranicznych. Na tym ostatnim stanowisku położył imieniem Polski podpis na karcie ONZ. Był honorowym prezesem Stronnictwa Demokratycznego, oraz ministrem bez teki.

DZIESIĄTA MUZA

W Krakowie rozpoczęto prace nad realizacją średniometrażowego filmu mającego obrazować historię arcydzieła Włda Stwosza oraz powojenne prace konserwatorskie prowadzone przy ołtarzu Mariackim.

NAGRODY KRAKOWA

Radni Ziemi Krakowskiej przyznali ostatnio po 100.000 zł nagrody rozmaitym twórcom. W plastyce nagrody otrzymali Bandura, Fedkowicz, Młodzianowski — dobrzy plastycy! zgoda! P. Perkowski i J. Weber otrzymali nagrody w dziedzinie muzyki. Bardzo słusznie! Z ludzi teatru otrzymali je świetny aktor T. Białoszczyński i doskonały scenograf A. Stopka. Jak dotąd — wszystko w porządku. Konia z rzędem jednak temu, kto wyłumaczy nam dła-

go Kraków przyznaje swe nagrody literackie, mające za sobą ciężar świetnych nazwisk (po wojnie: Staff Andrzejewski, z młodych niezwykle zdolny Broszkiewicz) — dziennikarzowi W. Machajkowi; i bliżej nieznanemu poecie S. Skonecznemu (czyżby za poemat o ks. Sciegiennym — gdzieś gust, o radni, w takim razie!).

NOWE WYDAWNICTWA

Ukazało się już w handlu księgarskim drugie wydanie znakomitej powieści katolickiego pisarza angielskiego Bruce Marshalla „Chwała córki królewskiej“.

Ukazał się trzeci tom „Ziem Staropolskich“ — „Ziemia Lubuska“ będący podobnie jak wydane poprzednio dwutomowe dzieło o Dolnym Śląsku i Zachodnim Pomorzu — jednolotowym, tym razem, kompendium wiadomości geograficznych, kulturalnych, historycznych przemysłowych i politycznych w regionie lubuskim. Od poprzednich różni się on gorszą szatą fotograficzną oraz brakiem literackiego reportażu współczesnego.

Mitośnikom mowy związanej oraz wszelkiego rodzaju literackich osobliwości sygnalizujemy ukazanie się znakomitej pracy Juliana Tuwima pt. „Pegaz Dęba“, będącej antologią wszelkiego rodzaju osobliwości poetyckich. Istne panopticon poetyckie. Pięknie wydane.

Jeszcze o Marshall'u

(dokończenie ze str. 2-ej)

Dla dobra p. Grzeniewskiego, a także dla zorientowania Go w prawdziwym stanie rzeczy zwierzę Mu pewną tajemnicę, o której wiem na pewno. Istnieją w Polsce ludzie, którzy przywitani „Chwałę Córy“ z oburzeniem nie mniejszym niż gniew p. Grzeniewskiego. „Po co nam te miazmaty zgaiłego zachodu? Mamy Sienkiewicza i to nam powinno wystarczać“ — tak do słownie mówiono.

W omawianym tu numerze „Nowej

Kultury“ znajduje się pewien dziwny tekst redakcyjny. Oto na drugiej stronie tego pisma wydrukowano redakcyjny artykuł „Komuniści i katolicy wspólnie bronią pokoju“. Artykuł ten oparty jest o wypowiedź Rogera Garaudy, wygłoszoną na XII Kongresie Komunistycznej Partii Francuskiej. Czytamy: „Powinniśmy się zbliżyć do katolików takich, jakimi są, a nie jakimi chcielibyśmy ich widzieć. Potrafimy uszanować również takie uczucia i troski, jakich nie podzielimy...“. Garaudy wypowiedział się przeciwko sekcjarstwu, które występuje u niektórych komunistów przeszkadzając osiągnięciu jedności akcji z katolikami. „...A katolicy posiadają troski codzienne podobne do naszych, choć umieszczają je w innych perspektywach“.

To — jako się rzekło — figuruje na drugiej stronie pisma. A na szóstej widnieje wiadoma wypowiedź p. Ludwika B. Grzeniewskiego, z której wcale nie wynika, że autor potrafi uszanować takie uczucia, których nie podziela. No i — co już wiemy — gwałtem czyni z książki katolickiego pisarza „tubę“ imperializmu, kapitalizmu i czy ja wiem jeszcze czego.

Polityk może z książką Marshalla polemizować. Bo dobra wola, duch ewangelicznej prostoty, miłość ku Bogu i ludziom to rzeczy godne czci najwyższej. Tak — ale trzeba mieć jeszcze program działania, któryby wskazywał jak postępować w dziedzinie polityki, spraw społecznych i gospodarczych, by świat stał się lepszy. Ks. Smith ani nikt w powieści programu takiego nie posiada. P. Grzeniewski ma rację, kiedy oskarża ks. Smitha o gubienie się w sprzecznościach. Nie ma natomiast racji, kiedy pisze, że ta książka jest napisana „ku chwale kapitalizmu“. I nie ma racji twierdzić, że powieść Marshalla jest „książką wsteczną i szkodliwą“.

Paweł Jasienica

LUDZIE

(dokończenie ze str. 7)

W 1945 r. Mao udał się do Chungking'u dla przeprowadzenia rozmów z Czang Kai-Sze-kiem. W czasie lotu ułożył poemat p.t. „Śnieg“ który opisuje jego wrażenia z podróży i stał się jednym z najświetniejszych utworów chińskiej poezji nowoczesnej.

Geniusz poetycki, wspaniała znajomość języka chińskiego, umiejętność wyboru odpowiednich zwrotów i stosowaniu ich w ich właściwym sensie czynią z Mao jednego z najlepszych mówców chińskich. Jego przemówienia są jasne i pełne treści. Posiada on umiejętność przemawiania do ludzi zupełnie prymitywnych, używając prostego języka i stosując dużą ilość porównań i metafor poetyckich, które są dla wszystkich zrozumiałe.

W 1942 przeprowadził on szereg spotkań z pisarzami chińskimi w celu nakreślenia im roli jaką winni odegrać w walce rewolucyjnej. W mowie otwierającej to spotkanie dał wyraz swoim przekonaniom:

„Pisarze i artyści prawdziwie twórczy i rewolucyjni powinni iść do mas. żyć pomiędzy robotnikami, chłopami i żołnierzami i im poświęcić całą swoją uwagę. Powinni żyć z nimi długo brać udział w ich ciężkiej walce, obserwować ich, badać, analizować różne formy życia i walki, tam bowiem znajduje się prawdziwe nieustające źródło literatury żyjącej. Dopiero po przebyciu takiego okresu nauki zdobędziecie materiał, który przetrwoczy w waszej produkcji artystycznej“.

„Oczywiście natura jest jedynym źródłem idealizowanych form literatury i sztuki, natura jest nieskończenie bardziej żywa, porywająca i bogata w treść niż sztuka.“

„A jednak lud potrzebuje sztuki a nie natury. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że dzieła literatury i sztuki są systematyczniejsze, bardziej typowe i dlatego bardziej uniwersalne“

Zobaczymy zaraz, że poza poematami i odczytami Mao ma już poza sobą ważne dzieło polityczne, które nadało mu przydomek „Chińskiego Lenina“.

Czu Teh (Czerwona cnota) urodził się w 1887 roku w pld. Chinach w bogatej rodzinie: właścicieli ziemskich. W 1911 otrzymał dyplom Akademii Wojskowej w Yunan i został komendantem kompanii. W 1922 wstąpił do partii komunistycznej i został wysłany do Niemiec w celu studiowania wiedzy wojskowej. W Hanowerze założył nową komórkę komunistyczną. Republika Weimarska uznała jego działalność za szkodliwą dwa razy wtrącała go do więzienia wreszcie nakazała opuszczenie granic kraju. Objechał więc Francję potem ZSRR i w 1926 powrócił do Chin. Mianowano go na początek Komisarzem politycznym Armii, po-

tem Dyrektorem Szkoły Wojskowej w Hanchnag — będącej oddziałem Akademii w Whampoa (Akademia Whampoa została założona przez Sun Yat-sen w celu kształcenia oficerów dla młodej armii rewolucyjnej).

Kiedy w r. 1927 Czang rozpoczął swoją „czystkę“ Czu Teh dostał rozkaz oczyszczenia swoich szeregów z lewicujących elementów prowincji. Czu Teh dnia 1-go sierpnia na czele swoich wojsk opuścił Nanczang wraz z kadetami szkoły i chwycił za broń przeciwko Czangowi. Jednakże został pobity i zmuszony do odwrotu. Wobec tego założył wraz ze swoimi ludźmi małą republikę radziecką na krańcach Hunan - Kiangsi - Kwangtung. Mao przeprowadził to samo w Czangkaishan. Niedługo później obie te grupy połączyły się razem.



Czang-Kai-szek — grabarz Kuomintangu

Czu Teh przestudiował dokładnie warunki prowadzenia guerilli. Opierając się na danych zawartych w teoretycznych pracach rosyjskich wprowadzonych przez Czanga z Moskwy Czu Teh stworzył własną metodę lepiej dostosowaną do lokalnych warunków kraju. Stał się pierwszym teoretykiem nowoczesnej guerilli. Metody jego okazały się niesłychanie korzystne. Klęska jaką poniósł pod Nanczang była jego pierwszą i ostatnią przegraną. Po cząwszy od 1927 r. Czang nie mógł go pobić ani razu. Na Kongresie w 1931 roku został jednogłośnie obrany Naczelnym Dowódcą czerwonych sił zbrojnych i na stanowisku tym trwa do dzisiejszego dnia.

Czu Teh jest człowiekiem bardzo prostym, chodzi zawsze ubrany w stary mundur nieokreślonego koloru, pozbawiony wszelkich odznak jego godności. Pod powierzchnią surowego wyglądu, gwałtownych ruchów i brutalnej szczeroci kryje on gorące serce, jego ludzie ubóstwiają go.

Czu En-lai jako minister spraw zagranicznych miał największy kontakt z cudzoziemcami. Urodził się w roku 1898 również w pld. Chinach. Ojcem jego był profesor, matką kobieta o wysokiej kulturze. W 1912 roku rodzina jego przenosiła się do Mandżurii. Czou miał wtedy 15 lat. Rodzice posłali go do gimnazjum Nankai w Tientsin,

gdzie 4 lata później zrobił dyplom. Następnie studiował kolejno na uniwersytecie w Japonii i uniwersytecie w Nankai. Czou, który zawsze interesował się ruchem rewolucyjnym szybko stał się jednym z jego przywódców. W pracy swej spotkał niesłychanie zdolną studentkę Teng Ying-chiao, z którą się ożenił i która obecnie jest członkiem zastępczym Komitetu Centralnego. Aresztowany w 1919 roku Czou skazany był na rok więzienia.

W 1920 roku wyjechał do Francji dla zakończenia studiów gdzie w Paryżu zorganizował komórkę chińskiej partii komunistycznej. Następnie również w celach naukowych udał się do Niemiec, przejechał cały kontynent i po czterech latach bezustannego kontaktu z cywilizacją europejską powrócił do Chin jako człowiek posiadający gruntowną znajomość instytucji demokratycznych. Po powrocie do Chin w 1924 został obrany sekretarzem Komitetu rządowego w Kantonie, następnie szefem Departamentu politycznego w Akademii Whampoa, oraz Komisarzem Politycznym Pierwszej Armii Narodowej. Z armią tą przeszedł Yang-tse. Potem wraz z Liu Shao-chi dostał zadanie zorganizowania klasy robotniczej w Szanghaju. Zadanie to przeprowadził tak doskonale, że bez wylania kropli krwi zajął ze swoimi 600.000 robotników miasto nim oddziały nacjonalistyczne zdążyły do niego nadejść. Uwięziony przez Czang Kai-szeka robiącego czystkę w lewym skrzydle partii zdołał zbiec, przedostał się do Hankow gdzie działał jeszcze rząd rewolucyjny a po zajęciu miasta, i upadku rewolty w Kantonie uciekł do Honkongu gdzie zorganizował tajną organizację komunistyczną. Następnie przebywał dłuższy czas w Szanghaju i Kantonie gdzie zrekonstruował na nowo komórkę Kungczantangu.

W roku 1928 został posłany do Moskwy w celu wzięcia udziału w 6-ym Kongresie III Międzynarodówki. W 1931 połączył się z Mao w Kiangsi wziął udział w Długim Marszu pojechał w 1935 do Moskwy na 7 Kongres.

Ostatnio został on mianowany Ministrem Spraw Zagranicznych Ludowej Republiki Chińskiej.

Jest jeszcze dwóch ludzi bardzo mało znanych poza granicami Chin, a przecież są to dwie osobistości bardzo ważne. Jedną z nich jest Jen Pe-shih, 42 letni kierownik spraw gospodarczych i finansowych i Liu Shao-chi, sekretarz generalny Kungczantangu.

Oto pięciu ludzi którzy stanowią stały sekretariat komunistycznej partii chińskiej, „chef de file“, wojskowy, dyplomata, ekonomista i teoretyk, ludzie odpowiedzialni dzisiaj za największy naród świata.

Jean Jacques Brioux

NA ZAMÓWIENIA
KIEROWANE
DO
ADMINISTRACJI
„DZIS I JUTRO“
SP. WYD. „PAX“
WYSYŁA POWIĘSC
BRUCE MARSHALL
CHWAŁA CORY
KRÓLEWSKIEJ
PROSIMY O WPLATĘ
ZŁOTYCH 750 za EGZ.
NA KONTOPKOI-8515
LUB PRZEKAZEM
POCZTOWYM

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; 1 p. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 30 złotych Kwartalna 180 złotych

B-110191